



ROK LVIII

NR 21

MISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 23 MAJA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Lekarzu lecz się sam!—H. C. Emigracja kobiet do Francji (dok.)—*Stanisław Posner*, senator. Gdzie i jak spędzić wakacje?—K. S. Otwarcie wystawy dekoracyjnej—*Marek Sienny*. Wiersze—*Juljusz Wirski*. Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie”—z autografu wydała—*Zofja Szmydtowa*. Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miaszewska*. Jak się Jasiczek Pazerny na świętego rykował (dok.)—*Władystawa Jankowska*. Z cyklu „Profile romantyczne”: Piękna Pamela—*Karolina Bielańska*. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bractawska—*Dr. W. L. Marja Dąbrowska* (dok.)—*Stefanja Podborcka-Okolów*. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z książek *C. Walewska*. Z teatrów—*Zofja Guzowska*. Z Ruchu Wydawniczego. Dział praktyczny: Mody. Szal haftowany. Moda a prawa człowieka—*Spero*. Pierwsze wyścigi—*W. L.* Z księgi przysłów *W.* Pielęgnowanie włosów—*Dr. med. Julja Świtalska*. Z teki mojej babki—*I. S.* Dekorowanie półmiskóv—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje [działu praktycznego Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobięcych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy... (c. d.)—*Beatrix Harraden*. ARKUSZ WZORÓW.

LEKARZU, LECZ SIĘ SAM!



Od pewnego czasu modą jest moralizowanie kobiety polskiej. Robi się to w formie mniej lub więcej kurtuazyjnej, czasem wcale nie kurtuazyjnej, tonem namaszczonym lub lekkim, to znów pełnym zgrozy i oburzenia, albo sarkazmu i pogardy.

Zwłaszcza pisma prowincjonalne przepełnione są artykułami w tym rodzaju.

Nawet i z mównicy publicznej podnosi się niekiedy głos potępienia, obiega całą prasą naszą i zgola niepożądanem echem odbija się za granicą.

By nie grzeszyć gołosłownością przytaczam parę takich oskarżeń.

Oto lwowski „Wiek Nowy” występuje z artykułem zatytułowanym „Piąta Bestja Apokaliptyczna”.

Autor żąda, aby aresztowano bez żadnego względu i poddawano badaniom lekarskim wszystkie kobiety, których zachowanie się (na ulicy budzi jakiegokolwiek podejrzenia co do ich moralności.

Jedno z pism pomorskich zamieściło wywołujący potem żywą polemikę artykuł p. t. „Kobiety polskie, ubierajcie się przyzwoicie!”

Czego tam niema?!

W biurach: „obnażone bajadery z rozwianymi włosami” „chłopczyce” żądanie, aby „służba kościelna wyprowadzała z kościoła nie ubrane kobiety” i t. p.

Więcej nie cytujemy. Jest tego pełno, a najdalej bodaj, poszedł w tym kierunku jeden z utalentowanych pisarzy, w odczycie, który narobił sporo hałasu i pisma lwowskie pobudził do ożywionej wymiany zdań. Generalizując wszelkie objawy demoralizacji, zauważone przez siebie, sygnął je mówca wszystkie razem na głowę „współczesnej kobiety polskiej”.

I przeciw temu właśnie zastrzec się trzeba najmocniej. Przeciw tym uogólnieniom!

Współczesna kobieta polska?!

Współczesna kobieta polska — to miliony włóścianek, w znoju żniw letnich pracujących na nasz chleb powszedni, a rodzających Ojczyźnie silnych i zdrowych obrońców.

Współczesna kobieta polska — to miliony robotnic, znędziałych w zaduchu fabrycznych miast, po ciężkim dniu pracy spieszących do swoich suterren i poddaszy, by wykopać i oporzadzić dzieci, zgotować kolację, sprzątnąć stancyjkę, wyprawić synów do szkoły wieczorowej, a potem długo w noc latać i naprawiać ich b'eliznę...

Współczesna kobieta polska — to żona górnik, żegnająca go codzień, z trwogą śmiertelną w sercu, i od rana do wieczora stojąca przy balji nad zasmoloną jego odzieżą...

Współczesna kobieta polska — to te tysiące studentek, o głodzie zdobywających wiedzę, to te

tysiące nauczycielek, rozsypanych po zapadłych kątach naszej prowincji, w zimowe zasy odciętych od świata, a często tak wiele bogactw ducha własnego rozsiewających dokoła...

Współczesna kobieta polska — to te zastępy inteligentek, oddanych pracy zawodowej, a znajdujących czas dla rodziny i domu i dla bezinteresownej pracy społecznej — w dodatku, przeciążonych robotą, przemordowanych troską, a znoszących jasno i pogodnie uciążliwości powojennego życia i patrzących w przyszłość ze spokojem i męstwem.

Współczesna kobieta polska — to ziemianka, gospodarnością, pracą i oszczędnością powiększająca produkcję krajową...

Współczesna kobieta polska wreszcie — to ta elita dusz twórczych, wnoszących w życie naukę sztukę, literaturę, pracę społeczną, nowe, bezcenne wartości...

Czemże wobec tych mas jest garść lekkomyślnych i swawolnych kobietek, obnażających ramiona, malujących usta, tańczących shimmy na dancingach, spijających szampana po gabinetach i szastających swym kobiecym honorem z największą ochotą i łatwością?!...

Pianka... jeżeli chcecie...

Szumowiny — jeżeli wolicie...

Ta kobietka najmniej zasługuje na nazwę kobiety polskiej. I prostym nonsensem jest robić z niej sztandarową postać naszego pokolenia, symbol powojennej kobiety polskiej.

Ta pianka spłynie ostatecznie...

Poza nią i całkiem niezależnie od niej dojrzewa w ciszy głębin typ kobiety nowej, łącząc wszystkie wdzięki kobiecości z pełnią indywidualnego rozwoju ducha, ciała, woli, intelektu.

Ten proces niezmiernie doniosły, piękny, ciekawy uchodzi oczywiście uwagi tych, co patrząc na malowane usta i nóżki w cielistych pończoszkach, mówią: oto typ nowoczesnej kobiety polskiej!

Innej kobiety oni nie znają.

Inna nie istnieje dla nich.

A dlaczego?

Zaraz pomówimy o tem.

Bo oto odsłania się druga strona zagadnienia.

W roli oskarżyciela i moralizatora występuje najczęściej „współczesny mężczyzna“.

Jakiem prawem?

Czy zerwał z zasadą podwójnej moralności?

Czy stanął na takiej wyżynie duchowej, że malowanka swawolna budzi w nim tylko wstręt?!

Ach, gdyby tak było, nie widzielibyśmy nigdzie malowanych kobiet.

Niestety, wstrętny istotnie i tragikomiczny jakiś jest sztuczny koral ust modnej kobietki, ale cóż powiedzieć o tym, kto

tak nie zna chemii
i ma tak zły gust
że pierwiastek słodczy najchętniej
z malowanych zbiera ust —

Cóż powiedzieć o „współczesnym mężczyźnie“?

Epidemją wyuzdania zmysłowego, która wraz z innymi epidemjami grasuje po powojennym świecie, ogarnięta została nie tylko pewna część kobiet, ale w wyższym jeszcze stopniu wszyscy niemal mężczyźni.

Nawet w świetle dawniejszych poglądów, przynajmniej mężczyźni prawo do większej swobody obyczajów niż kobiecie, rzeczy, które dzieją się dziś, a o których nie śniło się naszym ojcom i dziadom, odbijają doprawdy jaskrawo.

W tym samym Lwowie, który słyszał z ust znakomitego prelegenta padające gromy na grzeszną głowę współczesnej polskiej kobiety, jakoś w parę dni po owym odczycie wykryła policja stowarzyszenie szczególnego rodzaju. Do stowarzyszenia należeli ludzie dorośli, inteligenci, niektórzy żonaci, zajmujący dość poważne stanowiska. Klub ten czatował w zakątkach parku Kilińskiego i w innych odludnych spacerowych dzielnicach miasta, na wracające ze szkół nieletnie dziewczynki. Chwytano ofiary, gwałcono, a potem dopuszczano się na nich nikczemnego szantażu, strasząc kompromitacją, oskarżeniem przed rodzicami, władzą szkolną i tym sposobem wymuszając dalszą uległość.

Proszę zauważyć, że nie mówimy o apaszach podmiejskich, rzucających się w szale zwierzęcym na nieostrożną dziewczynę. Nie! to był „klub“, złożony z inteligentów!

Na ławie oskarżonych zasiedli Aleksander Wójcikiewicz lat 20, uczeń prywatnej szkoły, Gustaw Dreyer lat 28, żonaty, urzędnik, Eugenjusz Tkacz lat 27, rezerwista wojskowy, Henryk Siużański, lat 31, żonaty, były urzędnik kolejowy; Jan Dominik, lat 33, żonaty, elektro-mechanik, i Fryderyk Gembalski lat 27, kupiec.

Prokurator kładł w mowie swojej nacisk na premedytację, z jaką czynów tych dokonywano; na zawiązanie „klubu“ i podział czynności między tych myśliwych ludzkiej, a raczej dziecięcej zwierzyny! Śledztwo i rozprawa ujawniły, że ofiarami szajki padło między innymi, 5 dziewczynek ze sfery inteligencji.

Skazano winowajców na kary, w stosunku do zbrodni, niewielkie: po parę lat więzienia.

Jest to jeden z jaskrawszych przykładów powojennego zepsucia, ale mniej jaskrawych tysiące notują w ciągu roku pisma codzienne. Cała atmosfera współczesnego życia przesiąknięta jest dziwnie wzmożoną zmysłowością, jakby po szale krwi potrzebny był ludzkości szal rozkoszy, upojenie rozpusztą, spazm śmiertelny!

Do zjawiska tego przystępować należy z bezstronnością uczonego, z pobłażliwością myśliciela, z rozwagą społecznika.

Lecz nie obarczać potępieniem jednej tylko strony i to, bądź co bądź nie najwystępniejszej, no i nie uogólniać. A nade wszystko niechże kazań nie prawi „współczesnej kobiecie“ „współczesny mężczyzna“ on, który nawet innych kobiet, prócz tych malowanych dojrzeć chorą duszą swoją nie potrafi.

Niech nie moralizuje, bo wtedy w odpowiedzi paść musi, rzucone mu ze śmiechem:

„Lekarzu, lecz się sam!“

EMIGRACJA KOBIEC DO FRANCJI



migrantka jedzie dzisiaj pod opieką konwojentki polskiej i należy dodać że konwojentki te wybierane przez Urząd Emigracyjny w porozumieniu z komi-

tetem dla Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi nie przypominają już więcej „amatorek“, które jeździły do niedawna pod pozorem opiekowania się emigrantkami polskimi do Paryża, a nawet do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej... Konwojentki te skarżą się na stosunek do nich władz francuskich, na utrudnienia, które na każdym spotykają kroku. Są to początki, początki trudne do przebycia. Wina tu władz polskich jest oczywista: gdyby były wcześniej o zorganizowaniu pomocy pomyślały, początki te byłyby daleko poza nami i poza... emigrantkami. Władze drzymały zamiast uczyć się u Włochów, jak państwo opiekuje się emigrantami.

Dopiero skandale emigracyjne i nacisk opinii publicznej podnieciły rząd do żywszej na tem polu działalności. Dziś pierwsze lody zostały przełamane.*)

„Instrukcja dla konwojentek“ nakazuje im wejść w kontakt najbliższy z przedstawicielami organizacji kobiecych we Francji opiekujących się kobietą, organizacji zwanych misjami i dworcowami. Organizacje te powinny działać na całym terytorjum Francji, albowiem robotnica polska rozrzucona jest po całej Francji. I to jej rozproszenie stanowi o największej trudności organizowania robotnic polskich i opiekowania się niemi.

Emigrantka polska we Francji jest w największej ilości robotnicą wiejską, jest także służącą po miastach (przedewszystkiem w Paryżu). Na wsi jest w zupełnej zależności od pracodawcy, zależności nie tylko materialnej ale i moralnej. Nie zna języka, nie umie się bronić. Do niedawna obowiązywał okólnik, na mocy którego robotnica „zrywająca kontrakt“ mogła być natychmiastowo odstawiana do granicy. Bez sądu przez żandarma. Nikt nie badał jej winy, nikogo nie obchodziła jej krzywda. Nie należała do żadnego związku zawodowego. Konsul polski był daleko i nie miał żad-

nych środków materialnych, aby efektywnie opiekę wykonywać.*)

Inicjatywa rządowa jest godna uwagi i pochwały, jak również godna poparcia. W tym względzie powinna działać opinia polska w Paryżu. Kolonia polska w Paryżu jest dawna i wcale nie jest nieliczna. Jest to kolonia inteligentna i robotnicza: lekarze i lekarki — w tej liczbie bardzo zasłużeni i zasłużone, bardzo uspołecznione (mówię tu w szczególności o lekarkach), artyści i literaci. I w świecie robotniczym są jednostki wybitne, energiczne i ideowo nastrojone. Można tu stworzyć wielką i sprawną organizację opieki nad pracującą emigrantką. Można działać w porozumieniu z organizacjami francuskimi kobiecymi, zawodowymi. Fundusze powinny się znaleźć. Fundusze nie tylko na miejscu, składane przez zamożniejszych rodaków, ale i nadsyłane z kraju. I emigrantki same będą chętnie płaciły składki, które umożliwią im utrzymywanie kontaktu z krajem, z gazetą polską i z książką polską. Jest to praca na wielką zakrojona miarę. Gdy jednak wspomnę, jak jeden pan Władysław Mickiewicz potrafił czasu wojny

*) Okólniki Min. Spraw Wewnętrznych z dnia 27 sierpnia i 20 października 1924 roku, oraz „Instrukcje dla delegatek, towarzyszących transportom kobiet i t. d.“ Instrukcja ta jest dziełem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i Komitetu dla Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi.

*) Ksiądz Mochaj opowiadał w r. z. na posiedzeniu delegacji, obradującej w Paryżu pod przewodnictwem p. Sokala, że pewnej nocy spotkał przed wejściem do kolejki podziemnej w Paryżu dziewczynę z książką do nabożeństwa w rękę. Poznał w niej Polkę i zapytał, co robi w tem miejscu. Wyznała, że uciekła dnia tego (w niedzielę) z domu odległego o 40 km. od Paryża. Wybierała się do kościoła, była odświętnie ubrana i miała już książkę w rękę, gdy rzucił się na nią gospodarz, u którego służyła i chciał ją zniewolić. Uciekła. Dobrzy ludzie dowiedzieli ją do Paryża. Policjant kazał jej kolejka podziemną jechać do przytułku polskiego. Bała się atoli, wejść do „dziury“, która prowadziła do kolejki, pod ziemię... Można by niejedną wysnuć tragiczną opowieść z dziejów takiej nieświadomej języka i zwyczajów francuskich emigrantki!

stworzyć pomoc dla jeńców polskich we Francji (w r. 1918 liczone tych jeńców około dziesięciu tysięcy) jak ten sędziwy człowiek potrafił ze dwustu obozów wydobyć Polaków, aby ich następnie w Puy en Velay ześrodkować, myślę, że i tu wielka praca może być dokonana. Przedewszystkiem jednak musi być zapoczątkowana.

Pozostaje jeszcze do omówienia sprawa propagandy. Trzeba prowadzić propagandę tu w kraju i zagranicą. Trzeba także robotnicę ostrzegać i uczyć ją. Gdyby można było uczyć ją po francusku, uczyć, aby uzbroić, uczyć, aby mogła korzystać ze skarbów kultury francuskiej! Trzeba propagandę prowadzić we Francji, aby nie tylko Polacy, ale i Francuzi zrozumieli, jakie na nich ciążyą obowiązki, wobec zastępów ludzkich, z których pracy żyją i którym zawdzięczają w chwili przerażającego wyludnienia powojennego Francji, że kopalnie pracują bez przerwy, że pola są obsiane i uprawione.

Na jesieni r. z. mówili mi przywódcy Federacji górników francuskich (C. G. T.), że górnik polski jest doskonałym pracownikiem, Czasu wojny nie mogli się nachwalić Francuzi pracy jeńców polskich (w olbrzymiej większości włościan z pochodzenia i zawodu)!

W tych warunkach można liczyć na pomoc i Francuzów: nie tylko pracodawców, ale i zorganizowanych robotników, wszystkich szlachetnych i rozumnych ludzi we Francji. „Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela“ — ilekroć zajdzie po temu potrzeba stanie w obronie kobiety pracującej, jak stawała w obronie robotników, których ciupasem odstawiano do granicy...

Trzeba tylko „chcieć“. Trzeba pracować, organizować się w kraju i we Francji. Trzeba pouczać się wzajem i działać łącznie, spójnie, solidarnie.

Nie dajmy zginąć zastępom robotnic polskich, które chciały pracować w kraju, ale pracy nie znajdując, musiały szukać tej pracy, twardego wychodźczego chleba we Francji!

Stanisław Posner, Senator.

GDZIE I JAK SPĘDZIĆ WAKACJE?



ermin: wakacje ma już utarte znaczenie. Używając go, mamy na myśli przede wszystkim odpoczynek letni młodzieży szkolnej i nauczycieli.

Co do nauczycieli sędzę, że nie tyle im trzeba rady, gdzie i jak spędzić wakacje, bo to mniej więcej każdy z nich sam dobrze wie, ile raczej: skąd wziąć na to środki. Przyznam się, że o dawania takiej rady nie czuję się zupełnie na siłach.

Będę więc mówiła tylko o młodzieży. Bardzo wiele rodziców zupełnie słusznie już zawnazsu myśli o tej sprawie i układa projekty. Chodzi o to, aby wybrać stosowną miejscowość, odpowiednią opiekę i t. p.

Jaką wybrać miejscowość? O ile nie jest przez lekarza przepisana jakaś specjalna miejscowość kuracyjna, sędzę, że należy kierować się przede wszystkim tem, aby była zdrowa, ładna i zapewniała dostateczny spokój, tak ważny dla odpoczynku. Nie wspominam o bardzo ważnym względzie: o tanioci, bo takich miejscowości u nas wogóle niema. Zresztą zależy to także w znacznym stopniu od tego, jak się kao umie „urządzić“.

Chciał bym tylko zwrócić uwagę na jedną rzecz. Bardzo często dla zaoszczędzenia kosztów i trudu podróży wybiera się tylko miejscowości bardzo bliskie. Otóż mam wrażenie, że jest to oszczędność bardzo problematyczna. Letniska, leżące blisko wielkich miast, są szczególnie drogie, nie mówiąc jeszcze gorszych wadach. Natomiast dobrze wybrane letnisko, choćby odległe, może swoją taniocią i dogodnemi dla odpoczynku warunkami sownie wyrównać dość małą w gruncie rzeczy różnicę w opłacie kolejowej i chwilowe bądź co bądź tylko zmęczenie nieco dłuższą jazdą.

Przychodzi mi tu np. na myśl, że mamy cały szereg przepięknych miejscowości w Karpatach Wschodnich-takich, jak: Dora, Jaremce, Mikuliczyn, Tatarów, Worochta itd.

Prześliczna dolina Prutu, wśród malowniczych gór, pokrytych gęstymi lasami szpilkowemi. Zdrowe, aromaryczne powietrze, rozkoszne kąpiele w Prucie, cudowne wschody i zachody słońca! Krajobraz spokojny, radosny, swoboda i cisza. Ciekawe wycieczki na takie szczy-

tv, jak Chomiak, Howerla, Czarna Góra. Ludność Huculska sympatyczna i dla Polaków życzliwa.

Nawet z Warszawy podróż o kilka zaledwie godzin dłuższa, niż do Zakopanego. A jednak nietylko w Królestwie, ale nawet w zachodniej Małopolsce mało ludzi wie o nich, a jeszcze mniej z nich korzysta.

Dla młodzieży uważam letnisko to za szczególnie wskazane. Nie tylko dla zdrowego klimatu i zupełnego(!) braku kurzu, nietylko dla idealnej ciszy, bliskości lasów i wielkiego urozmaicenia krajobrazu, ale także dla cudownego piękna, które tak silnie działa na dusze młode.

A czyż względy natury narodowej i krajoznawczej nie przemawiałyby także zatem. aby dać młodzieży sposobność do poznania ciekawych i pięknych okolic naszej ziemi?

Uprzedzam tylko, że niema tam ani deptaków, ani kawiarni, ani kinematografów, ani nawet muzyki zdrojowej. Ale dla mnie jest to właśnie jeszcze jeden powód do wybrania takich letnisk dla młodzieży, dla której po pracy i zgiełku miejskim dwumiesięczne odciążenie nerwów jest wprost konieczne.

Przechodzę do drugiego pytania: jak spędzić czas wakacyjny?

Pomijam narazie wypadki, w których z jakichś ważnych powodów wskazana jest nauka podczas wakacji: jakiś egzamin poprawczy, jakaś lektura obowiązkowa i t. p. Pozatem i nieszczęśliwemi wypadkami — młodzież w zasadzie powinna odpoczywać i krzepić siły.

Ale dawno już zwrócono uwagę, że o ile odpoczynek ma być krzepiący, musi być zorganizowany, że

zupełna beczynność, brak planu i „obijanie się” są właściwie męczące i niezdrowe. Doświadczeni lekarze twierdzą, że jedynie racjonalnym odpoczynkiem jest odmiana zajęć. Nawet w wypadkach patologicznych, kiedy naruszenie równowagi systemu nerwowego zostało wywołane przez pracowaniem zalecają zupełną beczynność, ale lekką i przyjemną pracę z przeciwnej dziedziny. Ludziom, którzy np. przepracowali się umysłowo, radzę lekką pracę i sport. Strzeżenie, że każdy dzień, spędzony bez celu i treści, wywołuje nudę i niezadowolenie — a tem samem źle działa na nerwy.

Rozumie się, że najważniejszym celem będzie tu zawsze zdrowie i przyjemność wbrew powszechnemu mniemaniu wymaga też umiejętnych starań i planu.

Każdy dzień powinien mieć jakąś „fizjonomię“, powinien być planowo czemś wypełniony tak, aby dziecko świadomie, czy podświadomie czuło, że spędziło go przyjemnie i korzystnie.

A więc powiedzmy taki mniej więcej plan. Rano śniadanie, gimnastyka, kąpiel, jakaś lekka praca fizyczna w ogrodzie lub w polu, stolarka, sloyd, szycie (tylko nie haft!) i t. p. Drugie śniadanie, przyjemna książka, sport, przechadzka, robienie zbiorów przyrodniczych: minerałów, roślin, owadów i t. p. Obiad, godzina leżenia w ogrodzie na leżaku (nie spaniel!), a potem jakaś dalsza wyprawa do lasu, lub w bliskie góry.

W razie niepogody: dobra książka, lub zajęcie fizyczne, (celowe!) zabawy i gry towarzyskie. Kolacja wczesna, przechadzka w ogrodzie, muzyka, śpiew. A później spać — spać; 10 — 12 godzin!

Jest to plan rzucony od ręki, raczej szkic, który stosownie do potrzeb i warunków trzeba dopiero sprecyzować. Co się tyczy całodziennych i dłuższych wycieczek, to tu popełnia się często niepowetowane błędy. Dzieciom wątłym, o niezbyt pewnym zdrowiu, zwłaszcza o niecałkiem zdrowem sercu nie wolno pozwolić na dalekie i forsowne wycieczki. Jakże srodze mszczą się takie błędy w późniejszym życiu!

Nie wolno także zapominać o odpowiedniej opiece i rozsądnym kierownictwie takiej wycieczki.

Racjonalne ułożenie zajęć i rozrywek stosownie do natury, upo-



dobania, pór dnia i pogody jest rzeczą bardzo ważną. I tak np. uważam zajęcia fizyczne za wskazane raczej przed południem, a muzykę, odpowiednio dobraną, za bardzo korzystną przed snaniem. W każdym razie trzeba kierować tem bardzo dyskretnie: nie narzucać, nie żądać, nie krępować, ale radzić i podsuwać.

Na zakończenie kilka słów o tych biedakach, którzy muszą przez wakacje uczyć się.

Czy pracę tę kazać im wykonać

na początku, czy przy końcu wakacji, czy też rozłożyć im ją na cały okres czasu? Trudno na to odpowiedzieć bezwzględnie. Zależy od okoliczności, od stanu zdrowia, usposobienia, zdolności.

Jeśli dziecko jest wątłe i wyczerpane, pierwszą rzeczą będzie podreperować je fizycznie, a potem dopiero myśleć o nauce. Jeśli zdrowie na to pozwala, a dziecko jest niezbyt zdolne, ale za to pilne i wytrwałe — można mu pracę rozłożyć na małe „dawki“ codzien-

ne, dzieciom zdolnym zaś wystarczy popracować pod koniec wakacji.

W każdym razie pragnęłam tu podkreślić, że wakacje są okresem dla młodzieży nie mniej ważnym, niż rok szkolny i że trzeba poważnie zastanowić się, gdzie i jak najlepiej je spędzić. A już pod żadnym warunkiem nie wolno traktować dzieci tylko jako mniej, lub więcej przyjemny dodatek do wyjeżdżających na wypoczynek rodziców.

K. S.

OTWARCIE WYSTAWY DEKORACYJNEJ

Paryż 27. IV. 1925 r.

Polska Sekcja na Wystawie Dekoracyjnej w Paryżu została nieoficjalnie otwarta jeszcze w końcu kwietnia dla przedstawicieli prasy zagranicznej i polskiej. Generalny Komisarz zaprosił nas wszystkich, byśmy się mogli spokojnie w materiale zorientować, oprowadził nas po salach polskich, dając wszelkie możliwe informacje.

Cały teren wystawy — GRAND PALAIS, Plac Inwalidów, wybrzeże Sekwany — to ul gorączkowo uwijających się ludzi, najróżniejszej narodowości, nawet koloru.

Ta masa ze wszystkich stron budynków, pawilonów, atrakcji robi wrażenie ogromnego chaosu form. Wszystko to łączy i rozjaśnia cudna wiosenna zieloność, wiosenne słońce i niebieska Sekwana. Obok ogromnego „pałacu Dożów“ gmachu włoskiego — 2 szklane pudła połączone schodami i dachami — przypominającymi skrzydła aeroplanu — to — pawilon Sowiecki, zaraz przy wejściu od strony Place de la Concorde uderza widok malinowego gmachu z strzelającą w powietrze złotą statua — pawilon czeski, powiedzmy szczerze — pretensjonalny i ogromnie brzydki. Pawilon Polski zbudowany przez Józefa Czajkowskiego stoi nad Sekwaną — koło Szwedzkiego i Holenderskiego pawilonów; i jest on bardzo osobliwy: z jasnego kwadratowego budynku wystrzela ku górze 23 metrowa wieżyca cała ze szkła i żelaza, migająca w promieniach słonecznych.

Rozwinięte drzewa zasłaniają bok budynku i utrudniają widzowi wyczuć całości i ogólnych proporcji.

Poza tym pawilonem mamy jeszcze sale polskie w sekcji zagranicznej Grand Palais i w galerii na placu inwalidów.

Po obejrzeniu całości uderza jedno: ogromna ilość eksponatów ze wszystkich krańców Polski, produkcje artystów, dekoratorów, zakładów najróżnorodniejszych, szkół rzemieślniczych, akademii.

Uderza ogromna ilość pracy włożona przez organizatorów. Nie mogąc się kusić na opisanie wszystkich wystawionych obiektów — gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca, ograniczę się do tych eksponatów, które uwagę moją najbardziej uderzyły. Niewątpliwie ocena może być bardzo indywidualna, ale o obiektywizm w takich razach mowy być nie może.

CLOU w pawilonie polskim to wielkie sale centralne, 8-kątne

znajdujące się pod szklaną wieżycą. Jasne światło pada z góry i równomiernie oświetla ściany pokryte ogromnymi PANNEAUX Zofji Stryjeńskiej — przedstawiającej cemi — tory roku. Ślicznie szarmonizowane w kolorze — bardzo dekoracyjne, widzimy na nich szeregi postaci bożków słowiańskich, również chłopów polskich, sceny wiejskie. Szklana kopuła sfitu jest oparta o osiem rzeźbionych kolumn z czarnego drzewa dębowego — które jest prawdziwą rzadkością, wydobyto je niedawno z dna Wisły, gdzie niewątpliwie setki lat przeleżało.

Sama pani Zofja Stryjeńska, która na otwarciu wystawy przybyła, wygląda na tle swych ogromnych płócien, ze swą czarną strzyżoną czupryną i drobną figurką — jak mała dziewczynka patrząca na wszystko dużymi oczyma ciekawego dziecka. Dwie małe salki obok sali o której wspominałem są ozdobione witrażami Józefa Mehoffera — jeszcze nie wykończonymi, dalej mamy gabinet — salon pomysłu A. Jastrzębowski i I. Czajkowskiego. Stylowe i proste meble wykonane przez Słupczyńskiego i Tyratę w Poznaniu, kotary, makaty pomysłu Stryjeńskiej i Czajkowskiego, ślicznie haftowane firanki, hafty na poduszkach Zofji Pułaskiej i Stef. Łubieńskiej. Oryginalne jest atrium, przez które przejść trzeba, by wejść do pawilonu. Pośrodku wielka rzeźba marmurowa — naga kobieta — znane warszawskiego rzeźbiarza Kuny, — ściany efektownie udekorowane przez Jastrzębowski czarnobiałym deseniem w którym odnajdujemy herby miast polskich.



Posadzki są ułożone z marmurów kieleckich.

Na placu inwalidów wre jeszcze praca, zwożą w ogromnych wozach stopy rozkwitających krzaków kwitnących roślin.

Organizatorzy wystawy mieli wielki kłopot z tym placem, pod którym przechodzi kolej. Waga budynków musiała być ściśle obrachowana, by się plac — sklepienie nie zawalił, przy tem nie było mowy o założeniu zwykłych ogrodów z powodu braku ziemi. A że uważano kwiaty za najpiękniejszą dekorację — bez której nie można się obejść, urządzono ogrody sztuczne — ogromne kłaby z kwiatów doniczkowych.

I tu znowu wśród jeszcze niedokończonych sal, nasza sekcja już w całości gotowa.

Wchodzimy do sali zawieszonych kilimami i tkaninami. Zwraca uwagę duży gobelin o subtelnej gamie kolorów, przedstawiający młodego górala polującego na jelenie — na tle widoku Tatrzańskiego i zamku Orawskiego — wykonany przez panią Handelsmanową (kompozycja Skoczylasa.)

Sliczne kilimy pomysłu Dobrodzickiego, Wandy Korzeckiej, Młodzianowskiego i innych, prace wykonane w Warszawie w Szkole Przemysłu Ludowego pani Jadwigi Handelsmanowej, tkaniny, makaty nadesłane przez „Kilim Polski“ w Warszawie, przez „Tarkos“ w Zakopanem i szereg innych jeszcze instytucyj.

Obok tej sali widzimy kaplicę, skomponowaną przez Jana Szczepkowskiego, wykonaną przez II-gą Szkołę zawodową w Warszawie (dyr. Tokarski), cała kaplica z rzeźbionych z sosnowego drzewa płaskorzeźb. Nad ołtarzem Madonna z Chrystusem i w promieniach na wszystkie strony spływających moc figur, klęczących aniołów, chłopów, górali. Uderza harmonijność kompozycji i szczerą polskość tego dzieła. Harmonizuje z całością obrus na ołtarzu, wykonany subtelnie przez „Ars“ w Warszawie, pomysłu Wandy Szrajberowej.

Dalej mamy salon (Kotarbiński) i jadalnię (Jastrzębowski). Salon jasny, słoneczny, jasne sliczne meble, na stole, poduszkach, wytworne hafty również w „Ars“ wykonane, ściany obite granatowymi batikami o pięknym deseniu. Ja-

dalnia cała w ciemnych tonach — pawiego koloru z brązowymi boazerjami i ciemnymi bardzo prostymi meblami robi wrażenie bardzo harmonijne.

Wychodząc z galerji inwalidów, przechodzimy przez plac, gdzie mają być atrakcje polskie: dopiero się budują skragany z zabawną wieżą pomysłu K. Stryjeńskiego, na szczycie jej ma wirować laj — konik krakowski.

Zbudowana jest również mała scenka, gdzie pono mają przygrywać, śpiewać i tańczyć górale.

Przechodzimy do GRAND PALAIS, tam również mamy kilka sal.

Ogromna kolorowa szopka wykonana przez uczniów Akademii Szt. Pięk. w Warszawie i zawieszona nad wejściem, wskazuje wszystkim drogę do polskich ekspozycji. Tu widzimy szeregi polskich wydawnictw — książek, okładek, afiszów, zaraz potem może najciekawsze ze wszystkich: prace szkół zawodowych, artystycznych w Polsce. Tu wybijają się na pierwszy plan ekspozycje szkoły zawodowej rzemieślniczej, prowadzonej przez Karola Stryjeńskiego w Zakopanem. Szereg rzeźb o wybitnie polskim ludowym charakterze, a przytem bardzo nowoczesnych w uproszczeniu bryły i doprowadzeniu jej do zasadniczych form.

Ciekawą są prace szkół zawodowych Poznania i Lwowa. Z tej ostatniej bardzo piękne wyroby żelazne: lichtarze; ładne są bardzo prace wykonane w szkołach żeńskich wśród których uderzyły mnie prace szkoły zawodowej w Krakowie (dyr. Marja Strasburger) i Warszawskiej (dyr. M. Gozimirska): szkoły te przysłały prześliczne koronki hafty. Szkoła zakopiańska koronek wystawiła również szereg pięknych prac.

Duża ilość drzeworytów z Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (bardzo oryginalne Krasnodębskiej) świadczą o wysokim poziomie tej szkoły.

Chciałbym zakończyć ten pobieżny opis wzmianką o małej salce w Grand Palais w której zostały zebrane rysunki, batiki, obrazki malowane, wykonane przez polskie dzieci, przeważnie w warsztatach krakowskich B. Warchałowskiego i w

szkołach prof. Buszka w Warszawie.

Jest tu kilka malowanych obrazków: madonna wśród aniołów, święta rodzina, wędrująca do Egiptu, w tych pracach mamy tyle świeżości, tyle prostego niesfałszowanego niczem uczucia, takie poczucie koloru i linii — że się dziwnie wobec nich czuje człowiek dorosły. Przy tych skromnych obrazkach dzieła dorosłych wyglądają jakby szare i sztuczne nie wszystkie naturalnie, ale trzeba rzeczywicie sięgnąć jakiegoś szczytu, zdobyć się na czystą i głęboką twórczość, trzeba przejść przez lata ciężkiego trudu, żeby móżdż robić rzeczy, które nie bledną wobec twórczości dziecka.

Przypomniały mi się, patrząc na te rysunki „wspomnienia z małości“ dyktowane przez małe dzieci z zakładu „Nasz Dom“ pod Warszawą i wydane przez p. Falską w roku ubiegłym. Wobec tych wzruszających barwnych i tak prostych opowiadań dziecinnych, a również wobec tych rysunków i malowidełek tu wystawionych — tak ubogą, kłamliwą i sfałszowaną wydaje się lwią część naszej sztuki współczesnej.

Goethe wspomina — (zdaje się w rozmowach z Eckermannem) że gdyby ludzie się rozwijali tak jak w dzieciństwie się zapowiadają mielibyśmy samych genjuszów.

Kończąc artykuł mam jeden poważny skrupuł: tyle pracy serca, myśli, rąk ludzkich z całej Polski zostało włożone w tę wystawę — że wszelka ocena nieoparta o gruntowne badanie, ocena często subiektywna człowieka nie fachowego — jest krzywdząca. Krzywdząca tych, których się nie wspomniało, wprost z braku czasu, których zmęczone oko nie dojrzało. Ale myślę również, że Ci którzy najczystsza pracą swą w to włożyli, Ci którzy tworzyli szkoły zawodowe, którzy całe lata młodzież polską na całym wielkim obszarze ziemi polskiej kształcili — że Ci wszyscy nie pracują dla jakiejś reklamy i z uśmiechem patrzą na niefachowe wzmianki niefachowych korespondentów.

Prace ich dają im napewno możne zadowolenie zupełnie nie współmierne z tem co może dać nawet najlepsza ocena ludzi poza ich pracą stojących. Marek Sianny.



JULJUSZ WIRSKI

FANTAZJA O LADY GODIVIE

*Czerwone, elektryczne maki, kryształy w srebro oprawione,
Białe księżniczki z Sant Palermo, walc haszyszowo kołyszący,
I gdzieś—o mil tysiące—Ona! — Jej uśmiech rzewny, trochę drwiący,
Uśmiech Godivy, świętej pani, w purpurze światła rozpylony...*

*W mroku czerwcowych abażurów widzę te usta pół dziecinne,
Tych jasnych źrenic rozmodlenie w złociste szepty Matki Bożej
I nagle, mocą mej fantazji, Godiva jest małżonką Doży
I pierścień w Romie wyrzezany, już chłoną fal turkusy senne...*

*I znów Palermo! Białe róże w słońcu, jak złote płoną kule.
Lady z Coventry idzie zwolna, omdlewającym w blasku krokiem.
Stała... Nóżka, kwiat się waha... w oku zaduma o głębokiem
Serc przeznaczaniu... Z wonnej gestwy Etrusków*) zmarłe idą króle...*

*Znów czarodziejską mocą wizji nadchodzą czasy średniowiecza:
Wytworny paż pochyła głowę, oczy mu płoną jak brylanty,
Wszędzie manele i brokaty, zbroje złociste, amaranty,
Uśmiechy słodkie i zabójcze... Ktoś cicho prosi, ktoś zaprzecza...*

*I zagnała w świat słonecznych zdroi, swawolą serca rozjęzony,
Wszedł cień północy... Słodkiej lady usta przekwitły w białe róże...
Spuściła oczy i powieki — źrenic najczystszych wierne stróże —
Zamknęła cicho... Ktoś nieznany uderzył nagle w setne dzwony!*

*Żałobne dzwony! Marsz żałobny!... Lady Godiva już na marach...
Czerwone maki elektryczne ktoś szary spowił w czarne krepy...
Okna na wieczność porozwalał i zatańczyły w wichrach stępy
I czerń kurhanów oszalała w stu, śpiewających hołd pożarach!*

*Czerwone, elektryczne maki, kryształy w srebro oprawione,
Jasne księżniczki w ciemnych ramach, walc haszyszowo kołyszący,
I gdzieś—o mil tysiące—Ona! Jej uśmiech wieczny, śmiercią mżący,—
Jako te gwiazdy nad Palermo w szafirze nieba roztopione...*

*) Za panowania Tarkwiniuszów, etruskiego pochodzenia, wpływy rzymskie dosięgały Sycylii.

Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie”



Archiwum akt dawnych w Warszawie, wśród pism, skonfiskowanych Żmichowskiej przez władze rosyjskie podczas rewizji w r. 1849, znajduje się rękopis zatytułowany: „Dwoiste życie”. Jest to pierwotny tekst powieści, której datę powstania oznacza się na r. 58-my, która w r. 61-szym wyszła ułamkowo, w 85-ym także bez zakończenia; miała jej: „Biała Róża”

W zeznaniu, złożonym przed komisją śledczą, w Lublinie Żmichowska zaznacza, że powieść swą „właśnie wydać zamierzała”.

Nie znaczący to, że tekst był gotowy do druku w zwykłym tych wyrazów znaczeniu. Ilekroć utworów Żmichowskiej nosi charakter fragmentów, urywków, w których domysłności czy fantazji czytelnika zostawia się przypuszczalne rozwikłanie akcji i sąd nad jej bohaterem!

W danym wypadku powieść „Dwoiste życie” za wiera prócz znanej fabuły powieściowej zarówno niedrukowany epilog, jak i początek pamiętnika głównej bohaterki. Ale całość nie jest spojona; brak w niej kilku ogniw, niektóre epizody, przerobione kilkakrotnie z widoczną dbałością o szczegóły, nie wiążą się bezpośrednio z następnymi. Pozostają luki; najwidoczniej też brak kilku kartek rękopisu.

Z zestawienia dwóch redakcyj powieści wynika, że autorka odtworzyła napisaną około roku 49-go powieść z pamięci; bruljon i odpis, własną jej ręką dokonany, jak też częściowa kopia obcego pióra leżały w biurze komisji śledczej, skąd przeszły dopiero przed paru laty w ręce władz polskich.

Budowa powieści uległa zmianie. Niektóre epizody Żmichowska rozwinięła i uzupełniła, inne znowu usunęła z tekstu. Może chciała je spożytkować później, w dalszym toku zapowiadającej, się akcji? Wszak zmieniała porządek scen i obrazów.

Dwa epizody: wizja jeźdźcy i scena na cmentarzu wiejskim zasługują niewątpliwie na uwagę czytelników „Białej Róży”. Bardziej jeszcze zacieka ich epilog powieści, pisany z pewnym pośpiechem, podobnie jak zakończenie

„Książki Pamiętek”. Na życie duchowe bohaterki rzuci snop światła urywek z jej pamiętnika p. t. „Fantazja kobiety, która nigdy nie kochała”.

Przewisko bohaterki w rękopisie i w druku brzmi jednak: „Biała Róża”, imię — odmiennie. Augusta była pierwotnie Leokadja. Zmiana zaszła także w imionach innych bohaterów. Dionizy, Felunia, Salusia, zwali się zrazu Adolfem, Emilką, Magdusią.

Przytaczamy pierwszy epizod, malujący wizję Białej Róży, o której czytamy w jej liście do Autorki:*)

„Pod powłoką form towarzyskich i niezachwianej powagi stworzyłam sobie drugie, wewnętrzne, niewidzialne, szalone, namiętne i swobodne życie.

Zrazu było to jedynie mej wyobraźni igraszką — sama do siebie i sama z siebie układałam różne powieści; przedstawiałam się w różnych położeniach, rozsnuwałam przypuszczenia tysiące, jakbym ja w tym lub owym postąpiła wypadku — jakbym tę lub ową rzecz według własnego osądziła zdania, jakbym temu lub owemu zadostać uczyniła życzeniu. Marzenia takie coraz większego dla mnie nabierały powabu, aż raz nakońcie spostrzegłam się, że jakoby rzeczywistość wcielona, mogła mi żywych, w czasie i w uczuciu istniejących, dostarczyć wrażeń.

Pamiętam, było to na wsi u moich rodziców — w lecie — głąż latem jedynie, trochę dla mody, trochę dla świeżego powietrza opuszczaliśmy stolicę — zbudziłam się bardzo rano — wstałam, i otworzywszy okno, wychyliłam się do

Wiadomości o rękopisie udzielił mi łaskawie prof. Janusz Iwaszkiewicz.



połowy prawie, żeby czoło i myśli w świeżości czerwcowego skąpać poranka.

„Mój samotny, a prześliczny pokoik był na piętrze dosyć wysokim — widok z niego wychodził w bok domu — część kłombów dziedzińca, część zarosłego drzewami ogrodu i daleką perspektywę na pola, łąki i kawał bitej drogi obejmował. Z łąk dnia tego wzbijały się tumany mgły gęstej, a już promieniami weszłego słońca osrebrzonej, utęczowanej jak kawał nieba, strąconego na ziemię, Patrzyłam sobie w owe kłęby obłoczne, wciągałam pełną piersią powietrze wonią jaśminów, róż i akacyj zaprawne — nie myślałam o niczem, tylko używałam bezpośrednioż użyciem i chłodnych tchnień atmosfery i światła słonecznego i tych wonności, które z ziemi w dniach jej siły i odrodzenia, jak z kadzielnicy kościelnej do tronu Bożego się wznoszą — i używałam własnej młodości mojej — tego daru przyswojenia sobie na lubość i pieszczotę wszelkiego piękna, wszelkiej istności od iskry aż do dźwięku — od gwiazd aż do echa.

Wtem po drodze zatętnił szybki bieg jakiegoś konia — spojrzałam natężonym wzrokiem — lecz tyle tylko widzieć mogłam, że jeździec jakiś zręczny i śmiały, z długim włosem, z chartem przy boku, sadył przez rowy i zagony, aż w mgłach poranka, niby duch zabitego rycerza z ossjanowych pieśni, utonął.

Wyobrażenia moja pogoniła za nim. Trudno to opowiedzieć, jakim cudownym myśli przerzuceniem utworzyłam sobie w nim duszę, spojrzenie — głos — zbliżyłam go do siebie, jak gdyby wszelkie prawo przestrzeni i oddalenia zniknęły —

Piękny jeździec dopędził leśnej granicy, głęboki rów był przed nim — połamane drzewa za rowem wpoprzek się pokładły, jak gdyby umyślnie na zatrzymanie nieroztropnego śmiałka — chart wyprzedził jedną chwilką pana swojego, przypadł do rowu, zwierzył, zaskowyczał i w bok się rzucił, chcąc zmyślnością swoją niebezpieczeństwo człowiekowi zwiastować i nową drogę wytropić.

Z autogr. wydała

(c. d. n.)

Zofia Szmydtowa

MARJA JEHANNE - WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

25. NIECHAJ ŚPI SPOKOJNIE SEKRETARZYK Z CZECZOTKOWEGO DRZEWA, KTÓRY WZIĘTO NA GŁĘBOKIEJ LITWIE NA SZAFLIK DLA MENAŻY...

Mera w tanecznych zygzakach wiała się pośród lasów tak potężnych i tak prawiecznych w swoim posępnym majestacie, że stawała się prosto anachronizmem. Stawała się niemal obelgą, tak była radosna, swawolna i czarująca.

Płowogrzywiaste drzewa tamowały jej kruchy bieg gniewną ramą naprzężonych mięśni, z pod ziemi wysoko sterczących, i czyniły wszystko, co możliwe, aby zaćmić jej przeczystą jasność, jej roześmianą, dziewczynską niefrasobliwość. Kładły na nią tedy długie, fioletowe smugi swoich cieni, żłobiły ją rysami odłamanych konarów, cisnęły w nią gałęziami, szyszkami, garściami mchu i liści, ale ona wyglądała zawsze swoją powierzchnię, niezłomnie jasna, rozkoszna i pełna czaru młodości.

W wazutkiem swoim korycie, niosła oceany uśmiechu.

I tak biegła swoim zawilejskim powiatem, drobiła, klaskała, szmerala. Siała uludę baśni pełnymi garściami, o niebywałym szczęściu tej krainy, o błogości dziejów. Tymczasem dzieje te były zgoła inne, nie błogie, nie szczęsne. Złym była wykładnikiem przeżyć i dlatego burzyło się na nią wszystko, co przecinała srebrzystym nożem swojej reodości.

Wokół prócz lasów łabonarskich daugieliskich, cerkliskich, korkorzyńskich — lasów chmary nieprzeliczonej — były też nieprzeliczone jeziora. W promieniu najbliższym stały nieruchome, chmurne, stalowe płachty Narocza, Świru, Szwakszta, bieliły się bierwiona wsi krytych, o nazwach dziwacznych: jakieś Bojaryszki, Burbiszki, Podszerańcze, Zułowy, Guże, a na zakończenie, w samej dali najdalszej, kuła w niebo jak dzięcioł, wieża drewnianego, świętokaźmierskiego kościoła w Sorokpolu.

Pisało już wiele ksiąg o tem, co miejsca i lasy widziały, ile mogił drzewało w mchu i październikach sosnowych, ile się stryków przewinęło po stuletnich gałęziach, ile je-

ku dzwoniło jeszcze i hukało po polanach.

Ukrył to także i zachował nie jeden dwór modrzewiowy, typowy, staropolski. Błąkały się tam wciąż echa rozpachy nigdy niewypłakanej, do wigilii zatrzymywano zawsze jedno miejsce puste, z opłatkami, położonemi na krzyż, na herbowym talerzu. Meble, przycichłe, milczące — różowawe ze starości, jeżeli były z mahoni — czarne jak węgiel, jeżeli były z palisandru — prawie wiśniowe, jeśli były z bukszpanu — ciemnozłote, jeśli z czeczotkowego drzewa — podpierały sędziwe ściany zadumany szeregiem.

Stoły, przy których jadano dawniej, zapełniając je doszczętnie rękami, łokciami, talerzami, stały dziś niby martwe, krągłe, błyszczące jeziora i choćby nie wiedzieć ile mis, ile sztućców na nie rzucić, były ciągle puste. Centkowanymi kobierczykami nakryte kanapy, wyglądały jak jakiś opuszczony na długo, na zawsze brzeg. W pokojach sypialnych stały łóżka, niby ciężkie kłocze, rozłupane gromem. Cis, w którym były rzezane, nie wydawał się już cisem, jeno zyczajnem drzewem, obdartem prosto z kory. Ciemne dywany nad łóżkami omroczwały je w jeszcze głębsze zapomnienie. Wogóle dwory tam składały się pozornie z tyśiąca rzeczy śmiesznie bezpotrzebnych i ta bezpotrzebność przedmiotów codziennych, ustawicznie widzianych, nękała do absurdu, wykrzesując świadomość bezpotrzebności każdego wogóle zjawiska. Sprzęty, otoczone wokół wodą nietykanych posadzek, tarciami postawionych, po których bezdni człowiek stąpać się boi, jaby odcięty martwą, szklącą płaszczyzną od świata, podglądają wśród ciszy i tykających nierówno zegarów, to zapadanie się rzeczy w mrok bezużyteczności. Nie były to skoki nagłe. Owszem, te rzeczy długo, długo żyły, bezochybnie niezbędne, powoli jednak zaczęły przepadać dla oczu, wsiąkać w tło i podsta-

wę. Bezradna myśl pytała nieraz w ocknieniu: do czego one służyły? i śledziła w ciemnościach ów korowód umierających przedmiotów, dążących chyłkiem w obręb jej nieznaną.

Poza cmentarzem, gdzie się składa strojne truchła ludzkie — poza okopiskami, gdzie niewdzięczny człowiek rzuca ciała zwierząt, które mu w trudzie służyły wiernie — musi być jeszcze inne cerkwiszcze rozległe, tajne, odgródzone ściśle, w którym się kładą trumienki naszych bawidełek, koników drewnianych z lat dzieciństwa, kukielek, lalek, wstążczyn i innych drogich sercu cudeńków... Bo gdzież się to podziewa, pieszczone i chuchane? jakież wiatr śmiałyby roznieść te strzępki naszych jestestw? Jakżeby się liścił tak bez celu nasz las młody!? Gdzież naprzykład się podziała moja przesliczna lalka z francuskiej terrakoty, z oczami jak orzeszki laskowe i włosami koloru piernika, której trzech paluszków brakowało u lewej ręki? gdzież moja skarbonka drewniana, bezcenna, wyobrażająca tłusciutką świnię, do której nigdybym się nie była odważyła wrzucić grosza? gdzież moja lokomotywa furcząca, z zielonej blachy, uciecha nadziejska?... Niema. Były, a niema. Gdzie są?...

Niema. Były, a niema. Gdzie są?...

Czy rozmyślałeś kiedy, w głębokiej samotności, nad sprzętami, nie otaczającymi? Czyś zauważył pieszczotliwość niektórych tak zwanych „martwych“ przedmiotów, podsuwających się tkliwie naszym palcom? Czy obserwowałeś kiedy tychże przedmiotów złośliwość i upór?

Parasol naprzykład, chowający się wprost w naszych oczach na szafę, wtedy, kiedy po niego spieszymy? nóż, który nagle krajać nie chce? ołówek automatyczny, którego sztyfcik cofa się bez powodu, gdy go użyć chcemy? Słyszałeś kiedy jak chrypnie fortepian „w oczach,“ jak się staje twardy i zły? jak huczy w dwójnasób pedał?

Taki gwar, taki rozgardjasz jest w życiu naszym najcodzienniejszym, że przechodzimy mimo tych tajemnic, że dopiero słabowanie dłuższe, lub ciężka żaloba, skłania nas do skupienia, do zatrzymania wiecz-



nie roztargnionego wzroku na najbliższych nam, tak zwanych „martwych“ sąsiadach. Jesteśmy wtedy wprost olśnieni ich utajonym życiem, ich zdolnością wchłaniania naszych najsubtelniejszych pomysłów i wypromieniowania naszych zalet i wad. Jakże wybitnie się odznacza pokój, w którym najczęściej mieszkańcy domu przebywają — jakże to łatwo odgadnąć bezpośrednio z fizjonomji przedmiotów, tej zgoła odmiennej, zdeteminowanej towarzyskiej, pełnej wieści kronik, nowin, plotek uśmiechów, urągliwości i pobłażania. Nieomylnie się trafia do takiego pokoju. Dywany, stołki, trymutki, prawią ci rzeczy niestworzone, chociaż nigdy sprzeczne. Tak zwane „martwe“ przedmioty kłócą się tylko z człowiekiem, nigdy między sobą i ta prawdziwa harmonia działa niezwykle na człowieka chorego naprzykład, czy opuszczonego, jeżeli się jej poddać potrafi i zechce. Tylko, że człowiek ciągle się przy pysznej tezie upiera, że on ma duszę, a wszystko wokół jest bezduszne...

Nieprawdą jest nawet, że przedmioty piękne kłócą się z brzydkimi. Nie! Toć ta brzydota, czy piękno, to tylko zewnętrzna ich twarz, nie stanowiąca o treści. Dusza może być inna od twarzy, jak u człowieka.

Hełby się pisać dało o tym łączniku między światem tak zwanych martwych przedmiotów, a światem człowieka smutnego i opuszczonego, również ileby się dało wyciągnąć wniosków z tego maltretowania przedmiotów martwych przez ludzi! Czy nie przyszłoby z łatwością zatrzeć naprzykład demarkacyjną linię między niszczeniem sprzętów, które nas otaczają, a w których dojrzeliliśmy utajone życie, równie ważne, równie czułe, równie drogocenne jak życie człowieka — a zniszczeniem tegoż człowieka? Czy można zatrzeć zrozumienie różnicy między mordem tak zwanego martwego przedmiotu, a mordem istoty żyjącej? Człowiek wszakże ciągle coś deponuje i morduje.

Jeśli się nad tym faktem głębiej zastanowimy: to możemy dojść do konkluzji, że każde morderstwo

jest jednakie, mianowicie: żadne. Wszystko o bok nas jest kołem, a pośrodku koła: jedna, rubinowa krwią ociekająca oś.¹⁾

Tylko bardzo stare mieszkania ludzkie, w których bardzo szacowne, bardzo skupione, bardzo intensywnie prowadzone żywoty: nasuwają takie myśli, dlatego na kresach na Litwie: tyle myśli nasuwają, dwory. Każdy wywodzi się tam od litewskich władców, od Ginetów, od Giedyminów: od samego Perkuna. Każdy kryje tajemnicę wieloraką przeżyć chwalebnych i rozpacznych. Tam nie bywają dwory „nijakie“ zwyczajne, hreczkosiejskie, bez pamiątek, legend i zabytków.

We dworach poznańskich naprzykład: jedynym zabytkiem „sztuki“ na ogół, jest nieodzowna głowa końska nad stacją końską, woła nad wołownią, owcza nad owczarnią i świńska nad chlewnią, tak jakby tam spać nie dawały ludziom myśli, że fornale zapędzą świnię do cugowej, a owce nie daj Boże do wołowni, poczem by niezawodnie nastąpił koniec świata.²⁾

Tylko nad samym dworem, żadnego szczególnego znaku, żadnego piętna, żalu, przypomnień i wspomnień...

Na głębokiej Litwie, nad Merą właśnie szeleszczący ogród i taki właśnie dwór modrzewiowy, pełen pamiątek, bezbronny i zapamiętały w przeszłości.

Pokoje są zasnutę pajęczyną dawności, meble tworzą plamy nie-realne na staroświeczczyźnie tapet i na pięknych, lśniących zawsze parkietach. (Wychodząc cofasz przed nimi mimowoli nogę; jakbyś miał wstąpić w wodę najgłębszą....)

W rogu, na tle tyfkykowego, buńczukowego trójkątu stoi sekretarzyk z tysiącem szufladek i schówków, z wypukłą nakrywą do podnoszenia i zasuwania.

Siadywała przy nim tyle lat „pani Marya“ i czytała chłopcom swoim to wszystko czego czytać

¹⁾ Fragmenty z niedokończonej mojej powieści pt. RUBINOWA OŚ.

²⁾ Mówię o przeciętnym dworze wielkopolskim, bo wiadomo że i tu są tu i owdzie dwory piękne urządzeniem i architekturą.

³⁾ Patrz Sieroszewskiego: Józef Piłsudski.

podówczas nie było wolno. Albo opowiadała głucho o panu Sierakowskim, o księdzu Mackiewicz, o panu Romualdzie, albo z odrazą wymawiała imię Murawiewa-Wiesza-tiela.

Dzieci słuchały, łykały, pochłaniały owe obrazy, malowane ustami najdroższymi na świecie. Zapamiętały je na zawsze, wzdłuż wszystkich kolei własnych i narodu.

W głębi czeczotkowego sekretarzyka kryło się gorzkie cudo książczyn zakazanych drobnych foljałów, listków ulotnych, włosów nażętych na wieczną pamiątkę — jednym słowem to, co twardo replikowało na zarzut zaborczy: „russkich chleb zrotie, a po ruszki gawariti nie chatitie...“

Nie chcieli po rusku.

Chcieli, myśleli, marzyli, działali „po polsku“, całe życie po polsku, ciągle jeno tak jak ich „pani Marya“ uczyła przy swoim czeczotkowym sekretarzyku.

Później, znacznie później, kiedy się ziściły wszystkie marzenia „pani Maryi“ choć sama dawno spoczywała w grcbie mawiali jej synowie.

Gdy jestem wroźterce z sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy wokoło mnie podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogiem moim zamiarom, wtedy pytam samego siebie: jakby mi matka kazała w tym wypadku postąpić i czynię to, uważając jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic...

Ow sekretarzyk, wyedukowawszy wiele pokoleń przechodził jak one koleje różne, aż w dni nowej wojny, innej, nie tajnej już nie leśnej, nie ubogiej i zdławionej — zawę drował do żołnierskiej maneży. Obce żołdaki w pikelhaubach i czapkach bez daszka, porąbały gładkie ciemne, złote drzewo, a z wypukłej nakrywy i lśniacej jak atlas obróconej na wspanak dawały żreć gotowane kartofle świniom, umiejętnie tuczonym. Bardzo prędko utuczyły się świnię i pan Hauptman był bardzo kontent.

O, sekretarzyku brzezinowy, czeczotkowy... (c. d. n.)

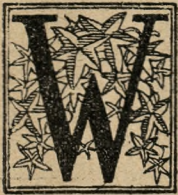


WANDA MIŁASZEWSKA

6

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



każdej z nas, kobiet, drzemie ten instynkt naturalny, instynkt rodziny, pragnienie życia się z kimś drogim, wybranym, — założenia ogniska, przy

którym tak dobrze jest zasiąść we dwoje!

Śmieszne jest opieranie się takim nakazom, zagłuszanie najistotniejszych praw, przeczenie własnym pragnieniom. Śmieszne, bo prędzej, czy później, (raczej prędzej, jak później) nadejdzie chwila obrachunku. I jeśli życie dawało ci dotychczas wrażenie pełni, w takiej chwili powiesz sobie cichutko: To jednak nie wszystko, nie...

I poczujesz, samotna kobieto, że ci się stała jakaś niezmierna krzywda. Ominęło cię w życiu coś, co nie powinno cię minąć: wyminął cię człowiek, którego spotkałaś na swojej drodze, lub może nie spotkałaś nawet. Wyminął cię ten, o którym myślałaś, lub mogłaś pomyśleć: jest mój.

IX.

Krótką i smutną jest historia mojej matki. Za wielki ciężar złożyło życie na tych wątłych ramionach. Nie udźwignęły go.

Jeżeli myślę o matce obiektywnie — a mogę tak myśleć, gdyż utraciłam ją wcześniej — dochodzę do wniosku, że w pomyślniejszych warunkach byłaby się rozwinęła cudownie, jak rzadki kwiat, o który dbają dłonie troskliwe.

Wszystko prawie, co wiem o matce, słyszałam z ust ludzi mniej lub więcej obcych. Od niej samej nie mogłam słyszeć tych smutnych dziejów. Byłam dzieckiem, przed którym tała nie tylko swe troski i ból, ale nawet chorobę, nurtującą wyniszczony organizm. Szczegóły jej życia znam dzięki Balbinie, która nie mówiła o matce inaczej, jak „moja najmiłsza panienska“; dużo opowiadała mi też Emilka, najwięcej jednak może dowiedziałam się z ust ciotki Eufemji, która zzymając się i złoścąc, nie nazywając matki inaczej, jak: „ta głupia, sentymentalna Helena“, składała jednak cierpkimi słowy hołd jej męstwu i niezównanej słodyczy charakteru.

Mój dziadek posiadał duży majątek. Słyszałam, że był to człowiek bardzo gwałtowny, niepohamowany zarówno w miłości, jak w nienawiści. Podobno kochał nad życie swą żonę, a owdowiawszy, przelał całą tę miłość na córkę, krzywdząc nawet starszego o parę lat syna.

Z opowiadań Balbiny, która młodość w rodzinie dziadka spędziła, wiem, że nie było fantazji jakiejby ten człowiek dla dogodzenia córce swej nie spełnił. Wszystko w domu miało być zależne od woli panienki — tylko że ta panienska od dziecka zdradzała wielką uległość...

Raz tylko jeden w życiu wszakże okazała niezłomny upór. Raz jeden, właśnie wówczas, gdy wymagano od niej pokory i posłuszeństwa bezwzględnie. Nie rozumiem, skąd wzięła siły ta cicha, potulna istota, wyglądem przypominająca wątłe trawki wiosenne, które lada silniejszy podmuch potrafi przychylić do ziemi. Oparła się wszystkim perswazjom, błaganiom, a wreszcie i — groźbom. W niewzruszonym milczeniu wysłuchiwała zarówno jednych, jak drugich. Musiała nad życie kochać mego ojca, jeżeli dla tej jedynej miłości stargała wszystkie węzły, łączące ją z rodziną. Nie zawahała się nawet wówczas, gdy padły najokrutniejsze słowa:

— Precz z tego domu, wyrodna córko!

Było to wypowiediane w uniesieniu, padło z ust człowieka nieprzytomnego z gniewu, jednakże miało swą wagę...

— Nie sposób było patrzeć, opowiadała mi w wiele lat później Balbina, — jak to biedactwo ślaniało się na nogach, wychodząc z domu. Bielsza była, niż ten oplątek, a usta miała całkiem sine, spieczone, jak od gorączki. Nie wzięła z domu nic, nic, nawet węzełka z odzieżą... Poszła, jak stała, w jednej sukience, a przecież to była jesień... Wybiegłam za nią, wytłumaczyć, do rozsądku przywieść...

— Już nic, Balbisiu, już nic... — szeptała jak nieprzytomna — Wypędzono mię, jestem przekłeta, teraz już tylko jego jednego mam na całym świecie...

„On“ czekał za parkanem ogrodu na wynik decydującej rozmowy. Wstęp do domu był mu oddawna wzbroniony. Od chwili, gdy bystre oko mego dziadka dostrzegło na twarzy dziewczyny szczególny wyraz, z jakim wpatrywała się w młodego artystę, od owej chwili minęło sporo czasu. Nie było środka, któregoby nie spróbował stary despota dla uleczenia córki z tej niewłaściwej miłości. Obwoził ją po obcych krajach, roztaczał przed nią przepych wystawnego życia, starał się rozerwać jej myśli, jak tylko umiał i mógł.

Nadaremnie. Miłość, której matka moja nie знаła nigdy, wybuchnęła jak wulkan, zawiadnęła jej sercem, jej wolą, opanowała ją całkowicie. Jakże musiał dziadek złorzeczyć tej chwili, w której sprowadził młodego malarza do swego domu, sądząc, że w ten sposób zadowoli artystyczne aspiracje córki, zdradzającej zdolności rysunkowe.

W dniu wyjazdu... tego intruza, który, wślizgnąwszy się do domu, „jak wąż, opętał naiwną dziewczynę“ — przyszła o zmierzchu do gabinetu ojca i powiedziała po prostu:

— Ojczy: ja go kocham.

— Głupiaś, moja panno. Jeżeli tylko tyle miałaś mi do powiedzenia, mogłaś się nie fatygować. Wybierz sobie z głowy ten kaprys — i koniec.

— Ojczy, to nie przelotna fantazja. Kocham go i nigdy kochać nie przestanę, — powiedziała z mocą. Tak mówią zawsze wszystkie zakochane panny, ale tym razem była to wielka prawda, o czym się z czasem mógł przekonać cały światek krewnych i przyjaciół, żywo przyjętych „romansem Helenki“.

— To jeszcze zobaczymy. — odparł mój dziadek. — Tymczasem idź do siebie i kładź się zaraz spać. Często sen nie tylko pokrzepia, lecz przynosi odmianę w myślach, czego ci życzę.

Nie odmieniło się jednak nic w tem sercu, które zadrgało uczuciem miłości do jedyne go człowieka i — na całe życie. Po roku powtórzył się dialog:

— Ojczy, kocham go. Nie przestałam go kochać. Nie mogę!

— To źle,—odparł krótko.

— Nigdy nie pokocham kogo innego. Za nikogo innego nie wyjdę za mąż.

— W takim razie nie wyjdiesz wcale.

I na znak skończonej rozmowy zatopił się w odczytywaniu papierów, zalegających biurko.

Czekała jeszcze kilka tygodni, do dnia pełnoletności. Nie wiem już, jakimi drogami porozumiała się z ukochanym, dość, że przyjechał. Wówczas raz jeszcze poszła do ojca na ostateczną rozmowę. Powiedziała z determinacją:

— Ojcie, na pozwolenie Twoje czekaliśmy do dziś. Teraz już ono nie jest konieczne. Teraz czekamy na twoją dobroć. Przecież nie zniesiesz myśli, że będę nieszczęśliwa przez całe życie dzięki tobie?

— Nigdy nie uzyskasz mej zgody na małżeństwo z tym chłystkiem. Nigdy, zrozumiałaś? A jeśli postąpisz wbrew mojej woli...

Zatrzymał się dla nabrania oddechu i dokończył:

— Będę wiedział, że nie mam córki. Został mi tylko syn.

Tak musiała brzmieć ta rozmowa. Odtwarzam ją sobie w wyobraźni z oderwanymi słów, które mi powtarzano.

— Jak żyje — opowiadała Balbina — nie widziałam takiego gniewu. Po wyjściu panienki., twojej mamusi — poprawiła, gładząc mię po włosach — zamknął się na trzy spusty w pokoju i wszyscy słyszeli, jak tłukł sprzętami o ściany. A później już ani słowa o niej nie wspomniał. Zaraz na drugi dzień wezwał paniczka, twojego wuja, z Warszawy i cały majątek dał mu, jak to się mówi, ciepłą ręką. Bezprawie to było, bo nawet nie mógł tak zrobić, a zrobił. Prędko to wszystko pan Włodzimierz przepuścił ani słowa! Ech, było też tak dziecko rodzone spostonować! Dopiero na łożu śmiertelnem opamiętał się, córki wzywał, wszystko, co kiedyś w gniewie rzekł, odwołał. Ale już było za późno. Nawet na pogrzeb nie zdążyła, bo nim znaleźli, odszukali... Boże Wielki. Nikt z rodziny nie wiedział nawet, gdzie się podziewał! Doniosła tylko w liście do pani Klimontowskiej, że za mąż wyszła, a potem już nic. A pan Włodzimierz, to także gagatek! Kto innyby wziął do serca ostatnie słowa ojcowskie, uszanował... Ale jemu całkiem od tych pieniędzy zemroczyło się w głowie.

Karty i karty, hulanki z dziewczętami, aż się doigrał.. Ot i po wszystkim.. Przepadł majątek, przepadł i on sam... Boże Wielki!

Tak opowiadała Balbina, trzęsąc głową z oburzenia. I opowiadała jeszcze, że sama pani Eufemja Klimontowska, chociaż rozgniewana okrutnie na „pannę Helenkę“ przekładała wszelako jej ojcu:

— Co ty wyrabiasz, Eustachy? Tego już za wiele! Dziewczyzna głupia, uparła się... Też sobie wynalazła los... No, no, podziwiam! Sama kiedyś żałować będzie. Ale znowu zaraz tak srogo! Zawsze to twoja córka, jedynaczka, bo z tego urwipołcia synalka pociechy nie doczekasz się, zobaczysz! Jeszcze i ty pożałujesz, zobaczysz!

Na tem się skończył pierwszy akt dramatu mojej matki, zwanego w rodzinie „romansem Helenki“. A drugi? Są w nim momenty jaśniejsze, jakby przebłyski słońca w chmurny, jesienny dzień. Wtedy nie rozumiałam, dziś zdaję sobie sprawę, jaka to musiała być nędza!

Ja — miałam zawsze swój kubek mleka i bułeczkę, którą drobila matka rękoma, niezwykle kiedyś pięknymi. Później te ręce szczerniały od kurzu, co wżerał się w skórę przy zamiętaniu, przy myciu rondli, przy nakładaniu węgla do pieca. Boże mój! Ile słonych łez musiała padać nieraz na płótno, z którego matka szyla moje pieluszki... Lecz to nie były piekące łzy. Dni głodu, dni nędzy prawie że czarnej, opramieniało spojrzenie dwu par oczu, wpatrzonych w siebie z miłością bezgraniczną. Kochała się ta para nędzarzy, gryząc czarny chleb i gorzkie zawody, a czasem, w krótkich przebłyskach lepszego losu, śmiała, cudowne snując marzenia!

Ten drugi rozdział, sen o szczęściu — przymknęło czarne wieko trumny. A trzeci?... Tak, trzeci, to była już tylko szara rzeczywistość. Sączyła się kropla po kropli, mętna, bez cienia uśmiechu, bez słonecznego jutra. Ostatnie łzy, które się nad nią polały, to były moje łzy — dziecka miłości i straconego szczęścia.

X.

Monotonnie płynęło życie w Klimontowcach po wyjeździe Emilki i Janusza.

Zwykle wieczorem gromadzili się wszyscy domownicy w dużej bawialni, oświetlonej jedyną lampą,

na okrągłym stole. Ciotka Eufemja, zagłębiona w swoją kanapę, migająca drutami, na których kończyła wiecznie jakiś włóczkowy szal, ozdobiony frendzlą; dalej mama, schylona nad robotą, milcząca i cicha, jak zawsze, o ile piersi jej nie rozsadzał suchy, gwałtowny kaszel. Pamiętam po dziś dzień, jak bardzo męczył biedną moją matkę.

Dalej „ciocia Józia“ pomagała Balbinie układać pasjanse, a jeszcze dalej pan Dziechciński, rządca czytał na głos spóźnione gazety, wtrącając od czasu do czasu jakąś osobistą uwagę, arcy-politycznej natury.

W głębi pokoju, dokąd za ledwie dochodził odblask lampy ze stołu, para dzieciaków przekomarzała się ze sobą szeptem, który przechodził chwilami w głośniejszą dysputę. Wówczas ciotka Eufemja, nie ruszając się z miejsca, podnosiła bezzębne powieki z nad okularów i krótkim błyskiem surowych, czarnych oczu przyprowadzała nas do porządku.

O ile Adaś nie drażnił kotka Waćpani, albo nie usiłował pocałować ukradkiem śpiącego mopsa za ogon, układaliśmy wspólnie, siedząc w kucki na ziemi, nader skomplikowane budowle z drewnianych klocków, na których przemysłna pani Rymszyna wymalowała cały alfabet. Wszystkie samogłoski znaczone były czerwoną farbą, a wszystkie spółgłoski — czarną. Adaś, który już wówczas posiadał sztukę łączenia liter w wyrazy, starał się zawsze tak zbudować swój pałac, aby na ścianach formowały się słowa, nierzadko całe zdania. Rozmawialiśmy możliwie cicho, rzucając badawcze spojrzenia w stronę kanapy dla przekonania się, czy duże, stalowe druty migają w tempie normalnem.

— Daj mi teraz dwa O — mówił Adaś półszepcem, a gdy naprzódno usiłowałam ze stosu klocków wybrać właściwe litery, dodawał pogardliwie:

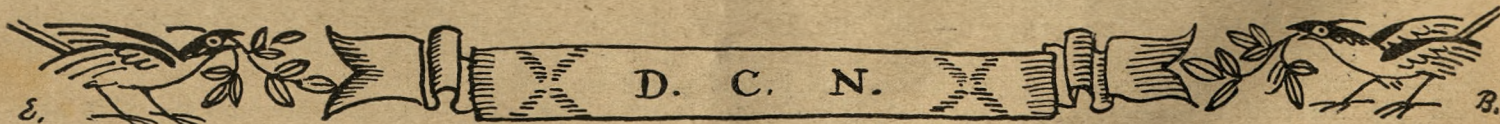
— Ach ty gluptasiel! Nie możesz nawet tego spamiętać, że O jest kółko.

Wtedy raptownie rozjaśniało mi się w głowie i z triumfalną miną podawałam mu klocki.

— To nie jest O! — wyśmiewał się Adaś.

— No przecież kółko...

— Jak kółko z kreską, to jest O pochylone, rozumiesz teraz? — objaśniał tonem wyższości.



WŁADYSŁAWA JANKOWSKA

Jak się Jasiczek Pazerny na świętego ryktował

„Cie — jo ta nie głupi... myślał Jasiczek... pewnie się te beskurcyje wybierajom na raubryckę. I zagnała ogarnęła go wielka żalność... Pytał ich o to nie bede, ni, to ni, musi ci przecie coś być na mnie, kie se ze mie nie kpinkują, a z ważnością się zaobchodzą...

— Jutro idem do wsi, do kościoła — rzekł naraz i z ukosa spojrzął po wszystkich.

Baca kiwnął w milczeniu głową i ściągnął kapelusz na twarz, że mu jej zupełnie nie było widać. Tylko Wojtek coś się zakrztusił i raptem z koleby wyleciał, aż drzwi za nim trzasnęły.

— Może weźmiecie moje oscypki — ozwał się młody juhas. Baca spojrzął nań srogo.

— Ja sam ci wezmem, bez tydzień póde na dół.

Jasiek pokornie spuścił oczy... ani chybi, jest w tem coś... I nagle uczyniło mu się dziwnie markotnie, poczuł się samotnym między tymi ludźmi.

„Ciężko to jest rzec, wielgo rzec i nie każdego na niom stać. Ano, niek się dzieje, coć przeznaczone.

Raniutko zaraz się brał w drogę, rażno mu się szło w porannym chłodzie i nie oparł się, aż przy lesie, gdzie mu głód przypomniał, że śniadania nie jadł. Przeszukał kieszenie, otwarł torbę i zdumiał się: na dnie leżała większa część osczypka.

„Raty, przeraty... dy jo go tu nie kładł, skondes sie mi wzion?... torbisko wisało za przegrodą w jego szopie... Cheba cud... Anieli włożyli jemu niegodnemu!...

Zadumał się niespokojnie, bo trwoga go opadła: Nie, nie tknie się osczypka... Jakby zjadł, w te chwile mógłby umrzeć...

Zamknął torbę i co tchu kopnął się w las, gnany niesamowitym strachem.

— Ej, wielgo ci to je rzec... wielgo... — powtarzał — sposobić sie na świętego.. Ludzie sie odsuną, bojąc sie bedom. Juści, inak wazyć bedom, ale zawdy cudnie jakosi... myślał i drapał sie fraso-blwie po głowie.

W izbie Hana wystrojona już się szykowała do kościoła, snać się go spodziewała, bo go pięknie powitała i podała śniadanie.

— Pójdziemy wraz do kościoła — rzekła miękko, a Jasiczkowi się zdało, że jakoś dziwnie na niego spojrziała.

— Wis, Jendrusz Macków prziset z Hameryki, jeno tak, coby sie na swoich przyjrzyć. Dudków, a gościńców seliniejakich nawióz... no, mogłak sie za nigo wydać, kiebym sie nie była pospieszyla.

W łościelce Hanka kogoś szuka w tłumie, aż ją Jasiek w bok szturknął, żeby mu w śpiewie nie przeszkadzała, jako że się starał wszystkich wyprzedzić, co mu się nie bez trudu udało.

Hana spuściła głowę i bokiem przyglądała się mężowi. Spozstrzegł to Jasiek, choć śpiewał zapamiętałe, aż mu się pot lał z wysmarowanych masłem włosów.

— Hana — mruknął — widz's co na mnie?

— Ze cozby?

— ...nade głowom.

— Zgłupiałeś, cy co? — odsunęła sie od niego i chustką (warz zasłoniła, bo ją śmiech dusił.

„Rety-dy plecie, jako we spaniu. zje mu się zwiduje, co je świentym, musi mu niedobrze być w głowie..

Jakoś tym razem nieswojo było Jasiczkowi we wsi, a już nie wytrzymanie w chałupie obok słodkiej nad podziw Hany, to też Pazerny przed wieczorem brał się z powrotem.

„Nijak inacej nie bedzie, ino mie „złe“ bez babę kusi...

Znowu torbę pomacał, gdzie poczuł ów tajemniczy osczypek.

„Znak je.. ani chybi...

I znów minęło dni kilka, trochę się zadeszczyło, burze krótkie, wiosenne co dnia przelatywały nad halami, huczały grzmotami, aż

echa grały w grotach pomiędzy ścianami skalnymi, by organy przepiękne. Pozieleniały hale, upłazy, świat skrzył się złotem w ulewie słonecznej. Na hali rozsiadło się bujne, wesołe życie, bydło się darzyło, szalańnicy kipieli ochotą i weselem, oprócz jednego wypadku. że „cosi krowę ozdarlo“, nic złego nie zaszło. Baca ujadacz sypał uciesznymi przypowiastkami, najwięcej gwoli wykpiwań dziewuch i parobków. Tylko jeden Pazerny przed jego językiem się ostał; choć j jemu chwilami zdawało się, że go poza plecyma do nitki obśmiewa. Zwykle w takich razach zabierał się z szałasem na samotne dumanie.

Najmilsza to była dla niego chwila, kiedy usiadł powyżej koleby i śnił na jawie. Hala leżała przed nim, a myśli bezpańskie włóczyły się, gdzie chciały. Tak i tego wieczora siedział i wpatrywał się w czyste niebo. Księżyc na pełni płynął ponad obłokami, słodka cichość wypełniła wieczór ciepły, dziwnie rozpalniony, długie cienie przesuwały się po hali, owce tu i tam podzwaniały, wszystkie szopy przebłyskiwały ogniami; a on, pełen szczęśliwości, niłosnami oczyma wodził dokoła.

„Abo mi to złe? — nie dbom jo o marność świata, jako i ta Maryja ze Starego Testamentu. Coby ino tyj zimy nie było i Hany... Przeciągnął sie z lubością i cmoknął fajkę... Psiojucha zgasała a siarników ni mom...

Podniósł się z siedzenia i zawrócił ku szałasom.

„Coś hań ludno?... Przystanął pod ścianą i spojrzął przez szparę do środka... Ciel a ta skondsie wziena?...

Pomiędzy juhasa mi siedziała jego Hana i żywo o czemś rozprawiała...

— O mnie psawiary prawiał — Widzi, że Wojtek, aż się na ławie kładzie ze śmiechu, a reszta gęby zamyka.

— Naremne to je chłopisko, ta, całke baba, ino chłopca babrze, jużek mu nieraz napędziła, ale to on wierzy, bo go odyńdem? A kiem sie zwiadziła, co ta bezera już i długi zacionga ponoć na swój dział na hali, tacek sie namysliła. Moi kochani, co un z tymi dutkami robi, ka ich podziwa? Dy haw siedzi.



— He, he, — nie wiecie? — roześmiał się Wojtek jadownicie. — spyracie się kupuje, a habrykę, chleby hochkami w jego sopie. Zajrzyjcie, to się przekonacie. Tera se poszed z pełnym brzukiem kany legnać, a pota ga'co, co na paciorkil He, he, nima co, fajnego macie. hłopa, ja ta z pirwa wiedział, co sie na tym skończy.

Jasiczek już dłużej nie słuchał, co tchu się zerwał, i jeno raz śmignął w las pobliski.

— Psie mięso... Pyskacze... a owa Hana, że sie tyż grzychu nie boi tak przed ludziami odkazywać... is... kciało ci sie baby? Teraz mosl... Dogadywał sobie pełen frasunku... Nie głupim sie jej pokazować, niek se złość odfucy, to śniom po'dobroci pogwarze...

Po dobrej chwili wyrżał. Hala pociemniała, ognie w szopach pogasły, ludzie się poukładali do snu. Księżyc przesunął się za chmurę, wirchy i szalasisko zatopił w smutnym cieniu. Pazerny cicho wsunął się do swojej szopy, rad, że go nikt nie widział i zasnął snem sprawiedliwego.

Słońce już stanęło wysoko na niebie, kiedy Pazerny rozwarł oko i ujrzał we drzwiach tłustą gębę bacy.

— Aleś sie, Jasiczku, wywcasował! Na dzień dobry rzekę ci nowinę wcoraj tu była Hana — zakrzyczał.

— A wim — mruknął Pazerny obojętnie.

Ktoś za plecyma bacy parsknął śmiechem, a napastliwy głos Wojtka się ozwał: — Jasiczek zno i widzi wszystko, i to, co się pod ziemią wyrabia i jak trawa rośnie, nie dziwota, dy sie na świętego ryktuje.

— Kazała cię Hana pozdrowić, — mówił bacy — i rzeknąć, co byś sie u kościelnego zgodził do zamiatania, a kie nie, to sie w ramki opawił i powiesił, bo una niegodna przy takim świętym siedzieć i jenszego se chłopca znalazła... pewnikiem wis., Jędrzka!... dy sie od tygodnia zmawiali, jako se społem do Hameryki pojadą. Wraz przed świtaniem sie brała, bo dziś majom jechać Wselico narosprowiała ino mi sie to kupy nie trzymie.

— Iis — trza ci beło — zaczął pojednawczo Wojtek z za pleców bacy, kieś wzion młodom, fryśnom babe, to śniom siedź i żyj po bożemu, a na pustelnika nie studeruj — he — he... Na mój dusiu, fajno Hana — buchnął śmiechem, a za nim zesła stojących pod ścianami szopy.

— No, chłopcy, do roboty — krzyknął bacy — a wy Jasiak, jak bedziecie swoim działem na hali handlować, to sie z nami źle skoncy, baccie se na to. Tu żadne figle nie pomogom. To cie Jasiak przestrzegam!

Chwila minęła, zanim Jasiczek do siebie przyszedł. Naraz nim poderwało, na ławę skoczył, cuhę ściągnął i tyle go na hali widzieli.

Jak sobie z Hanką poradził, niewiadomo. Podobno go Hana na pożegnanie natłukła i z Jędrzkiem w świat poszła. Jasiczek syna na gazdostwie zostawił, a sam się na Orawie oparł, gdzie po nieboszczce miał „dzierzawę”. Słuch o nim zaginął. Jeno na hali została uciejszna historia, jako się Jasiczek Pazerny na świętego rychtował.

(Komic)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

I.

PAMELA, FAITES HÉLOISE!

Pani de la Rochejaquelin w pamiętnikach swoich maluje oryginalną scenę: Było to w roku 1782, opowiadająca miała lat dzieścięć. Babka jej, księżna de Civrac, zaprowadziła ją do Luwru, na wystawę obrazów, w chwili, gdy nie było innych gości.

„Zaledwie przybyliśmy, drzwi otwały się na oścież i weszli trzej mali książęta Orleańscy ze swą siostrzyczką: Mademoiselle, prowadzeni przez panią de Genlis, która była zarazem guwernerem i guwernantką, za nimi świta... Wpadłam w zachwyt, mogąc przyrzec się zbliska tej sławnej damie.

Wszak czytywałam jej powiastki, grywałam w jej sztuczkach, słyszałam o niej tyle rzeczy, szeptanych nieraz z tajemniczym nieco uśmiechem, że ciekawość moja była ży-

wo podniecona. Pani de Genlis była ubrana bardzo skromnie, ciemno, kapturek czarnego płaszcza osłaniał jej głowę. Wydała

*) Joseph Turquan et Lucy Ellis: La belle Pamela d'après des correspondances et mémoires inédits, des traditions et documents de famille. Paris 1924.

Znany autor „Sióstr Napoleona”. „Księżnej d'Angoulême” etc. i panna Ellis, prawniczka bohaterki opowiadania w monografji swej, kładą główny nacisk na zagadkę jej pochodzenia, oświetlając natomiast zbyt stronniczo epizod jej pożycia z bohater-skim Lordem Fitzgerald, rewolucjonistą irlandzkim. (Pan Turquan jest legitymistą, panna Ellis zdaje się również lojalną Angielką). Porównać zatem należy dzieła inne, jak Hervé: Irlandia; Thomas Moore: Mémoires sur Lord E. F. etc. Dawni czytelnicy „Bluszczy” pamiętają może piękny, choć fantastyczny romans Desly'a: Wódz — duch Le Capitaine phantôme, osnuty na tie tragicznych losów małżonka pięknej Pameli, tłumaczony przez Illicką, widzącą w nim, jak zwykle, analogię z dziejami polskimi.

mi się i szczupła i smągła usta, oczy i zęby miała zachwycające, twarz przemiała o wyrazie bardzo ujmującym i inteligentnym! Mali książęta byli ubrani podług mody angielskiej, z włosami, opadającymi na ramiona, bez pudru, w naturalnych kędziarach, rzecz niezwykła i wielce dziwna na owe czasy!

Podczas gdy guwernerzy i malarze tłumaczyli dzieciom obrazy, moja babka wymieniała tysięczne komplementy z panią de Genlis, która przedstawiła jej swą córkę, późniejszą hrabinę de Valence. Miała czternaście lat, była piękna i wysoka. Babka moja ujrzała obok niej śliczną dziewczynkę w wieku lat siedmiu. Rzekła:

„Pani ma dwie tylko córki (starsza pani de Lavoestine, była już zamężna), kto jest zatem ta śliczna istotka?

„Oh! — odpowiedziała pani de Genlis półgłosem, ale ja dosłyszałam — dzieje tej małej to historia bardzo wzruszająca, bardzo ciekawa, ale nie mogę jej w tej chwili opowiedzieć Pani.“ Dodała: „Jeszcze Pani niczego nie widziała, zaraz pani osądzi co to za twarzyczka!“ potem podnosząc głos: „Pamelo, zrób Heloizę!“ Natychmiast Pamela wyciąga grzebień, jej piękne włosy bez pudru opadają w długich kędziarach; przykłęka na jedno kolano, wznosi oczy ku niebu, podnosi jedną rękę, a twarz jej wyraża namiętną ekstazę. Pamela trwa w tej postawie!... Przez ten czas pani de Genlis zda, e się wniebowzięta, daje znaki, czyni uwagi mojej babce, która nie szczędzi komplementów co do piękności i wdzięku jej młodej wychowanki. Co do mnie, byłam zdumiona instynktownie i niczego nie rozumiałam. Potem słyszałam, jak babka moja śmiała się z tego epizodu i żartowała z dobrej edukacji, jaką dają małej Pameli.

Babcia — księżna, była osobą zafanowaną i nie wiedziała, że przybierane romansowe pozy: „les attitudes“ są najnowszą, z Anglii importowaną modą, i wchodzi w plan wychowania artystycznego i teatralnego, jakie dawała swoim wychowankom pani de Genlis.

Słynna w dziejach pedagogii, autorka kilkudziesięciu dzieł o treści niesłychanie budującej i kilkunastu romansów, znacznie mniej budujących w treści, ale zawsze zakończonych moralnie, życiem swem przypominała owe kwietne ogrody osiemnastego wieku, w których odbywały się frywolne zabawy, a mimo to, na każdym kroku przechodzień spotykał ślup z maksymami najcnotliwszymi, wypisanymi na ozdobnej tabliczce. Takie dziwne bywały ogrody owej epoki i takie dziwna dusze.

Świat, niezmiernie pobłażliwy dla dostojnych grzeszników, z parwenjuszek sztychł z dyskretnym uśmiechem. A pani de Genlis była parwenjuszka, mimo, że ze szlacheckiej pochodziła rodziny.

Urodzona w r. 1746 w Burgundji, Karolina, Stefanja, Felicja Du Crest de Saint Aubin wyrosła w ubóstwie prawie i z trudem zdobyła jakie takie wykształcenie. Uroda, nie klasyczna wcale, ale mająca pewien „pieprzyk“, wielce pojętny, spryt nadzwyczajny, utorowały jej drogę do powodzenia w Paryżu, dokąd sprowadziła się z matką, po ruinie majątkowej ojca. „To młode stworzenie miało wszystko, co mogło się podobać, brakło jej drobnej tylko rzeczy. Czego? Och, drobniaczku, na który zazwyczaj mężczyźni nie zwracają

nawet uwagi. Serca. Bóg zapomniał również obdarzyć ją duszą, ale djabeł postarał się o to“*).

Było „sekretem poliszynelem“, że „piękna Pamela“, jest córką pani de Genlis i księcia Orleańskiego.

Szlachcianeczka z prowincji zdobyła sobie w krótkim czasie tytułowanego męża, stanowisko w świecie i książęcego kochanka. Ambicja, dominująca cecha jej charakteru popychała ją wciąż dalej po drodze niezbyt prostej „Drogi kręte są nieraz pełne błota, ale za to nie mają cierni“ wyznaje sama. W r. 1770 młoda hrabina de Genlis zostaje damą dworu księżnej de Chartres (męża mianują kapitanem gwardji) i w przeciągu lat kilku staje się panią wszechwładną dworu w Palais Royal.

Książę Filip Orleański, „dzik de Chartres, stryjeczny brat króla, pierwszy książę krwi, był, jak wiadomo, uważany za głowę liberalnej opozycji. Słabego charakteru, ambitny epikurejczyk dał się coraz bardziej ovladać kobiecie, z którą go narazie kaprys połączył, a fantazja pięknej hrabiny dosięgała granic zgola nieprawdopodobnych.

Ze stosunku z księciem urodziły się podobno dwie córeczki, wysłane w tajemnicy „na mamki“ do Anglii. Hrabina zaczyna marzyć o rozwodzie — swoim i księcia. Chce zostać księżną — nie, to za mało — w powietrzu czuć, jeśli nie rewolucję jeszcze, to Fronde przeciw dworowi, a jeśliby Ludwika strącono z tronu, któżby go zastąpił, jakby nie pierwszy książę krwi, liberalny Burbon, wielki mistrz loży masonskiej! Taki był ponoć szalony, ale niepozabawiony prawdopodobjństwa, „piekielny“ zdaniem rojalistów, sen pani de Genlis o tronie Mari Antoniny.

Na razie szła naprzód swoją „drogą krętą“. Otrzymała stanowisko wychowawczyni dzieci książęcych. Najpierw córeczek, potem, o dziwo! chłopców. Nawet w epoce dziwnych eksperymentów à la Rousseau, ten „guwerner w spódnicy“ zadziwił otoczenie. Król jako głowa rodziny musiał dać swoje placet na tę nominację. Poczciwy Ludwik XVI ruszył tylko ramionami. „Ja mam Delfina — rzekł szorstko — Madame jest w ciąży. Księstwo d'Artois mają dzieci — kóś sobie ze swojemi dziećmi, co ci się podoba.“ Miało to znaczyć, że niema cienia możliwości, aby

* Złośliwa uwaga w książce, której współautorką jest prawniczka pani de Genlis!

które z dzieci nielubianego króla mogły na tron francuski wstąpić. A jednak jednym z tych książątek pupilów pani de Genlis był przyszły król, Ludwik Filip.

Bezprzykładne powodzenie sprytnej damy miało jednak stronę ujemną. Uczuła się chwycona w pułapkę. Aby zostać wychowawczynią, musiała przyjąć maskę moralistki. Musiała, „nie dla przyjemności zaprawdę“, pisać grube tomy skomplikowanych banalnych traktatów o moralności i religji. Jakże teraz, jakim sposobem przyznać się do swego nielegalnego macierzyństwa? A głos krwi przemawiał. Tęskniła zwłaszcza za pierwszą „księżęcą“ córeczką, ślicznym stworzeniem, urodzonym w r. 1773.

Od czegoż spryt i wytrwałość? „Guwernantka“ wpada na myśl genialną. Pupilkom potrzeba konwersacji angielskiej, najlepiej według nowych metod, uczyć w dzieciństwie kilku języków odrazu. Pani de Genlis w porozumieniu z księciem sprowadza z Anglii małą towarzyszkę zabaw dla bliźniaczek książęcych.

Plan udaje się cudownie. Zużany agent księcia znachodzi dziecko, istny cud piękności, rzekomo w domu podrzutków i wyprawia ją do Paryża, a że agent ów Forth jest zarazem dostawca koni dla księcia (w samej rzeczy był szpiegiem Pitta) kursuje po stolicy dowcip rzekomo autentyczny z jego listu.

„Posyłam Waszej książęcej Mości najpiękniejszą klacz i najładniejszą dziewczynkę, jaką mogłem znaleźć w Londynie.“

„Dostawca koni“ przyprowadził maleńką, szesćioletnią dziewczynkę, śliczną w czerwonym płaszczku z kapturkiem, białą, złotowłosą, do Palais Royal przez dzwiczki skryte i oddał ją księciu. Ten uściskał maleńką, poniósł ją w objęciach przez ciemne kurytarze do apartamentów pani de Genlis i rzekł, wchodząc: Oto nasz klejnocik! Voila nôtre petit bijou! Książę posadził dziecko na kanapie pomiędzy sobą a hrabiną i oboje ucałowali ją, płacząc serdecznie.

Taki były pierwsze wspomnienia Pameli, która później opowie je przyjacielowi irlandzkiemu: doktorowi Madden.

Następnego dnia przedstawiono małą całą rodzinie Orleańskiej. „Aniołek“ podbił sobie serca wszystkich, nawet biednej księżnej, która odsuwana systematycznie od spraw wychowania dzieci, jeszcze nie wiedziała o całej prawdzie lub udawała, że nie wie.

Dziewczynka nosiła oficjalnie plebejskie nazwisko Nancy Syms, opiekunka, przywiązując narówno z Balzakiem i Napoleonem wielką wagę do imion chrzestnych, wybrała jej imię nowe z modnego wówczas niezmiernie rożnansu Richardsona: Pamela czyli cnota nagrodzona.

* * *

Pani de Genlis szalała poprostu za swą „wychowanką”. Dziwić to może wobec „braku serca”, który jej zarzucają złośliwi biografowie. Prawda, że mało uczucia zdradzała wobec swych prawych dzieci (dwóch córek i zmarłego w dzieciństwie synka) i wobec drugiej córeczki nielegalnej, Herminy, wnet potem sprowadzonej podobną drogą, jak pierwsza. Żadne z tych dzieci nie było tak piękne, jak Pamela. Być może zatem, że namiętne przywiązanie do ślicznej istoty, było u matki jednym z przejawów niepohamowanej ambicji i żądzy wyniesienia się. Bóg wie, jakie fantastyczne nadzieje i plany powstają w jej umyśle, gdy patrzy na tę złotowłosą główkę.

Pamela jest nietylko przedziwnie piękna, ale dobra i miła. W jednej z najpoczytniejszych swych książek: *Les veillées du château* (r. 1784) pani de Genlis tak daje jej wizerunek, poświęcając dziewczynce cały rozdział p. t. Pamela ou l'heureuse adoption.

„Nie można było ujrzyć jej, a nie zając się nią i nie pokochać Z początku nawet nie zwracał nikt uwagi, czy rysy jej są regularne, czy jest piękna, czy tylko ładna. Pierwsze, co uderzyło widza, to interesujący, naiwny, niebiański zaiste wyraz jej twarzy. Miała wielkie, ciemne oczy, długie, czarne rzęsy. Nie mówiono o jej oczach, mówiono o jej spojrzeniu. Była uważająca, serdeczna, szczerą, ujmującą równie jak naiwna. Była czuła i wesoła, łagodna, choć dość żywa.

Z tak dobrem sercem Pamela musiała łączyć pobożność tkliwą i najszczerzą.. Jej wdzięczność i miłość dla swej opiekunki wyrazić się nie da..”

A jednak wychowawczyni nie tai i wad pewnych w tem ubóstwianem dziecku, wad, odziedziczonych zapewne po ojcu:

Pamela, jej zdaniem, nie potrafi się przyłożyć do żadnej roboty, brak jej pamięci, jest roztrzepana. Fizycznie żywa i czynna, „biega jak Atalanta”, ale umysł jej jest leniwy w najwyższym stopniu, to też jest zupełnie niezdolną do refleksji..”

Ach pocóż refleksji tej ślicznej istocie, podobnej do kwiatu lub do rajskiego ptaka? Pierwszą jej rolą po przybyciu na dwór książęcy, to skrzydlata rola Amora (dziwnie stosowna dla dziecka miłości) w pantominie p. t. „Venus, prześladowająca Psyche”. Rolę Wenery grała prawowita córka hrabiny Karolina, piętnastoletnia narzeczona markiza de Lavestine, jej siostra Pulcherja trzynastoletnia, była Psyche. „Nigdy nie ujrzysz tyle zjednoczonego razem wdzięku i piękności, co w tych trzech postaciach”, pisali współcześni. David (słynny malarz) był rozentuzjzmowany tą pantominą, która, jak mówił, osiągnęła doskonałość ideału.

Ale piękniejszą jeszcze była dziewczeczka, później nieco, w kostjumie Djany. „Miała suknię wspaniałą, białą i zieloną, haftowaną złotem, przepaska djamentowa opasywała jej stan, śliczne włosy, niezmiernie cienkie i lśniącej czarności były splecione i przewinięte perłami, niosła na ramieniu lewem lekki kołczan, w rękę trzymała łuk”, na miniaturze, którą malował Mirys (malarz Polak) kostjum jej składa się z barw trójkolorowych, wchodzących już w modę, szarfa i wstęgi są niebieskie, łuk czerwony, dra perje, opływające jej postać, białe. „Można sobie wystawić młodą dziewczynkę, jak upojona radością życia, w promienny poranek czerwcowy, pełen woni róż, biegnie przez trawniki ku cniom lasu. Pies ulubiony u jej boku. Wzlatuje bardziej niż biegnie, jej lekkie stopy nie zostawiają śladów, trawa za ledwie się ugina pod niemi, rzekłbyś wraz z poetą, że kwiaty rosną tam, gdzie stąpiła jej noga.”

Radość życia! Jeśli kwitła ona przedziwnie wśród niefrasobliwych kół arystokracji, bawiącej się w sielankę mimo zbliżającej się burzy, to z pewnością Palais Royal był wybranym jej przybytkiem. Jeszcze bardziej zaciszne Belle Chasse, dokąd przenoszą się dzieci.

Guwernantka stworzyła tam wprawdzie niezwykłą, nawet na wiek osiemnasty „sałatkę” dzieci swoich i nieswoich, prawych i nieprawych, książęcych i, rzekomo zresztą, podrzutek ale trzeba jej oddać sprawiedliwość, że wychowanie tych dzieci nie było pozbawione zalet. Abstrahując od sentymentalnych, teatralno czułościowych akcesorjów, leżących w duchu czasu kształcenia młodych umysłów, prowadzone w duchu Jana Jakóba Rousseau dało im dużo solidnej wiedzy, umiejętności praktycznych i miłych talentów.

Mimo „wpływow masońskich”, którym jakoby miała ulegać pani de Genlis, księżęca młodzież wzrastała w uczuciach religijności zbyt czułościowej może, ale mającej pozostawić ślad niezatarty w umyśle przyszłego króla Francuzów z jego przyrodniej siostrzyzki, tkliwej Pameli.

W tym młodym świadku pani de Genlis króluje, otoczona uwielbieniem bez granic. Niegdyś kochanka, dziś przyjaciółka i Egerja księcia, schlebia jego kaprysom, ułatwia mu miłości, a sama zwraca swe usiłowania w stronę dzieci. Oddaje się im zupełnie. Młodzi książęta „całują ślady stóp” tej, która się każe nazywać Bonne Amie, księżniczka Adelaida, godzi się na rolę Kopciuszka wobec ubóstwianej Pameli, której „piękność za stepuje urodzenie”. Pani de Genlis sądzi, że przez to odważne afiszowanie miłości dla „sierotki”, sypnie piaskiem w oczy światu i ocali reputację nieskalanej cnoty. W staranny sposób zaciera ślady pochodzenia dziecka, oznuwa misterną komedią jej pochodzenie angielskie.

A świat śmieje się poza jej plecami i nikt w bajkę angielskich „sierotek” nie wierzy.

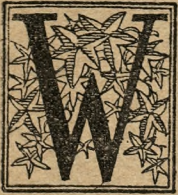
Księżna dowiaduje się najpóźniej prawdy, ale gdy chce zbuntować się przeciw supremacji faworytki, już jest za późno. Obca kobieta zwyciężyła ją w sercu dzieci, serce męża straciła oddawna i biedaczka cofa się, odchodzi do ojca. Zwycięska „guwernantka” pozostaje bożyszczem rodzinnego kółka Orleanów, jej zaś bożyszczem jest Pamela.

* * * (c. d. n)



DR. WACŁAW LIPIŃSKI

Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska



śródm wielu nazwisk kobiet polskich, wśród wielu imion nazwisko kobiety uwidocznione w tytule, mało jest dzisiaj jeszcze znane. Platerówna, Pustowójtówna, Chrzanowska—to nazwiska, które dźwiękiem swym wywołują już w naszej duszy obraz poświęcenia, bohaterstwa, męczeństwa, obraz tak dobrze znany, wpajany dzieciom od najmłodszych lat. I tak być musiało. Tak być musiało w latach niewoli. w latach tęsknoty ku wolności, w czasach, gdy w żarze i płomieniu serc kuje się miecz wyzwolenia. Postacie piękne, postacie bohaterskie, porwijające swem uniesieniem, ukochaniem kraju, gotowością do ofiar, takie postacie nam za wzór stawiano, o nich w czytankach, gędz-bach, pieśni nie zaginał słuch.

Dzisiaj, w zmienionych do gruntu warunkach, nikt nie zaprzeczy, że bohaterski poryw i zapal muszą być czczone i pamiętane. Lecz obok imion i nazwisk Pustowójtówny, Emilji Plater, obok tych symbolów gorącego bohaterstwa, obok tych postaci musimy zwrócić uwagę i na te, które nie w ogniu bitew, nie w kurzawie wojennej jak spartanki, służyły krajowi, lecz i te, które pracą mozolną, pracą od podstaw, siały tak cenne ziarna swej duszy. Dziś, gdy nakazem naszych czasów, w których odbudowujemy państwo, krzepimy je i umacniamy, w których praca staje się hasłem coraz bardziej popularnym—lecz nie tanim, efektywnym okrzykiem, w stronę jednej tylko klasy zwróconym—lecz rzeczywistym nakazem warunków państwowego i społecznego życia, którym się wszyscy głęboko muszą przejąć—dziś zapoznajmy się z Anną Jabłonowską, wielką reformatorką życia społecznego w Polsce pod koniec XVIII wieku...

Ciążkie to były czasy, owa druga połowa osiemnastego wieku. Po marazmie czasów saskich, tak długo nietykanych piórem historyka, po owych strasznych latach powszechnego upadku kultury życia państwowego, społecznego, etycznego i umysłowego—powoli począł się naród budzić z uśpienia. Jeszcze masy „szlacheckiego narodu“ spały, jeszcze żyły kultem złowrogiej, a tak drogiej i świętej dla nich

„złotej wolności“, jeszcze w bezwładzie swym nie zostały poruszone. Ale już w tych czasach „stałego zrywania sejmów, w których cała działalność Rzplitej była paraliżowana i jakby dotknięta ciężką, śmiertelną niemocą, już w tych czasach „sobiepańskich“, prywaty, zawiści, ciemnoty, bezmyślnej bigoterji, czczej retoryki—już poczyna się zwolna, tu i owdzie budzić nowe życie, nowe iskry, które z czasem sprowadzić mają pełny, wspaniały renesans narodowej kultury.

Jeszcze w połowie tego wieku światło pióro nieszczęsnego, podwukroć wydziedziczonego Stanisława Leszczyńskiego w „Głosie wolnym, wolność ubezpieczającym“ sięga w głąb życia i bolączek Rzplitej, umacniając myśli o sanacji, o reformie tak zabagnionych stosunków państwowych, już z jego szkoły poczyna wyrastać zastęp nieustraszonych bojowników nowej ery, nowych prądów. Już Załuscy obydwa gromadzą swą olbrzymią bibliotekę, gromadzą źródła, materiały, pomniki nauk, nie bez głębokiej myśli, aby inni z ich pracy swobodnie korzystać mogli już i Stanisław Poniatowski, ojciec króla, domaga się reform wojskowych i skarbowych.

Były to jednak tezy, stawiane jeszcze w próżni, nie mające oparcia wśród ówczesnego społeczeństwa, nie mające, częściowej choćby, jego aprobaty. Dopiero siew rzucony hojną, tak wspaniale utalentowaną ręką księdza - pijara, dopiero rzutka i ostra, jak klinga, myśl Konarskiego Stanisława poczyna coraz bardziej przebijać mroki marazmu. Jego niestrudzona działalność na polu oświaty, jego reforma systemu nauczania i wychowania, raz wreszcie zrywająca z zatruwającymi duszę i umysł systemami jezuickimi, jego dzieło wieczne o „Skutecznym rad sposobie“, setki broszur, pism i polemik—świadczą, iż poczyna w narodzie budzić się świt odrodzenia...

Były to jednak pisma, projekty, myśli, zamiary, które głównie miały na celu reformę ustroju państwowego, reformę instytucji publicznych, bezkrólewia, elekcje, intrzygi dworów, nienasycone ambicje rodzinne magnatów, cały ten obłądny taniec wokół blasku korony—to była bolączka najbardziej paląca, najszybciej potrzebująca reformy. Druga sprawa—to owa niesz-

częsna „złota wolność“ ugwarantowana „liberi veto“, wolnym głosem przekupstwa, ciemnoty i pychy, owo zrywanie sejmów, zupełne zaniedbanie biegu spraw państwowych, spraw publicznych. Była dalej sprawa wojska, okrutnie zaniedbanego. Ze wspaniałych, groźnych ongi światau rycerzy pancernych, towarzyszy z pod ciężkiego, czy lekkiego znaku, zostali jeno „rycerze pogrzebowi“, jak ich z racji asysty pogrzebowej zwano. Rozkład zupełny wojskowości staropolskiej, zanik jej wspaniałego ongi ducha, a zewnętrzne strojenie się szlachty w nazwy rotmistrzów, poruczników, towarzyszy—tytułów kupnych tak, jak się kupuje gęś karmioną na rynku.—Wywołuje to gromki żal Konarskiego, że „najwięcej mamy żołnierzy teraz—kiedy już w Polsce wojska wcale nie znajdzie“. Regimenty, nędznie żyjące, lada czem płatne, nie ćwiczące, nie pielęgnujące cnót wojskowych, skoro nikt tych cnót nie zaszczeplił—to był stan ówczesnych sił zbrojnych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej—wówczas, gdy wokół warkot się bębnow odzywał i tysięczne wroga maszerowały kolumny.

To były najpilniejsze sprawy do załatwienia, tych spraw, tych bolączek jak najspieszniej musiała dotknąć kojąca dłoń reformatorów. Nic więc dziwnego, że na sprawy społeczne, na stanowisko prawne dwu stanów, wówczas iak upośledzonych, na sprawę mast i wsi, mieszczan i chłopów, stosunkowo niewiele poświęcano czasu. W ogólnym systemacie projektowanych reform poruszono i te sprawy, bowiem musiało się zrucać w oczy Konarskim, czy Karnickim, że tak głęboko upokarzające stanowisko tych dwu stanów, wyłącznie i bezwzględnie spychanych przez jeden szlachecki, jest nienormalnością, wymagającą naprawy. Jednak by na tym, najbardziej ciemnym dla mas szlacheckich punkcie nie obalać życia reformy, po stokroć wówczas ważniejszej—nieśmiało tykano tych spraw.

Tem więc znamiennejszem, tem więcej podziwu jest godnem, iż tych właśnie spraw dotknęła ręka kobieca, że umysł Anny Jabłonowskiej potrafił wyzwolić się z ówczesnych pojęć i przesądów i zająć się tak pogardzanym stanem ludności wiejskiej.

(c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

(sylwetka literacka)

Przemówiło utajone piękno drobnych, codziennych zjawisk dziecięcego świata, piękno, które się tak dobrze pamięta i które za wszelką cenę pragnie się wskrzesić pośród szarzyzny dojrzałego życia. Nie wiadomo, czy to jest zasługą autorki, czy zasługą istoty samego faktu, że widziany przez kryształy łez i szafir wspomnienia, tyle ma uroku i sentymentu, nie tracąc bynajmniej realnych kształtów rzeczywistości.

Boże Narodzenie, Wielkanoc, drzewa na wiosnę, historia żałobna o najmilszym braciszku Janku, „wszystkie dzieci“, goście, ulubiony wyżeł Tumry, ptaki, babcia, duchy nawiedzające stary dwór, pierwsze książki, te umiane na pamięć „Malowanki“, „Duch Puszczy“, „Dzieci kapitana Granta“, chłopskie tańce i piosenki, wszystkie polskiemu, ziemiańskiemu dziecku tak dobrze znane etapy „sielskie i anielskie“ aż do owego kopca granicznego, którym jest pierwszy odjazd z domu do szkoły. Snują one przez duszę czytelników cały różaniec osobistych skojarzeń, a pod ich czarem tak łatwo ulec można pokusie bezkrytycznego przyjęcia roboty w imię sympatii do spreparowanego materiału, inaczej mówiąc, bezwiednego podstawienia faktu życiowego pod fakt artystyczny.

Nasuwa się jednocześnie niebezpieczeństwo inne, doraźnego zamknięcia utworu do szufladki—kategorji form zużytych i wielokrotnie nadużytych, jaką jest bezsprzecznie forma pamiętnikarskiego opowiadania.

Pośród tych piętrzących się, a kto wie, czy nie umyślnie spiętrzonych trudności, jak między Scyllą i Charybdą, szczęśliwie i odważnie przepłynęła autorka, wiedzona nieomylnym instynktem artystycznym, który jest busolą stokrój pewniejszą od wszystkich teoryj literackich. Dowiedziona jest rzeczą, że prawdziwy talent nawet w martwą i przestarzałą formę mocen jest wlać życie, podczas gdy najmądrzejsze recepty i przepisy nie zarumienią żywą kwią sztucznego homunculusa, wysmażonego w retorcie doktryny bez udziału iskry bożej.

* * *

Już w „Uśmiechu Dzieciństwa“ są momenty, zdradzające tajoną, a nieprzepartą tęsknotę do innych form życia, niż te, w jakie ludzi

przyobleka los, przypadek, stanowisko społeczne, powiedzmy po prostu: urodzenie.

„Ach jakże chcieliśmy być do nich podobni. Do bandesów, fornali, ręczniaków, dziwek!“

Jakież jest źródło tego pragnienia? Kult siły. „Mieć takie szorstkie i takie szalenie mocne ręce. Potrafić to, co oni.“

„Wszystko, co myśmy zrobili w naszej zabawie, mogło zaraz przestać być. A oni gdziekolwiek stąpnęli dokądkolwiek przyszli, jakkolwiek wzniesli swe ręce lub pochyliłi plecy, zawsze i wszędzie, działało się za ich sprawą coś, co było i co nie mogło już nie być.“

To już coś więcej, niż kult siły. To jest kult pracy, jako czynnika twórczego w życiu.

Postacie bandesów, fornali, dziwek, pierwsze przemówiły do olśnionych oczu dziecięcych potężną, nie dającą się zapomnieć wizją siły i pracy.

Późniejsze przeżycia i wrażenia nie zdołały tej wizji zatrzeć. Ona nastawiła obiektyw wyobraźni odtwórczej na takie, a nie inne zjawiska, ona kazała Dąbrowskiej radykalnie zmienić swoją postawę wobec faktu: patrzeć na niego nie z góry, ale z dołu, brać go nie do zewnątrz, jak to się robi naogół w beletrystyce, ale od wewnątrz, od jego istoty i rdzenia.

Wejść nie tylko w duszę, ale i w skórę prostego człowieka, oddychać jego płucami, dźwigać barkami, śpiewać „ustami, krwawiącymi od spiekoty“ pożywać jego razowiec, smakować maślanek z rżanymi kluchami, pracować jego mięśniami, ziębnąć na mrozie, prażyć się w upale, cuchnąć, jak on, potem i kożuchem, wcielić się weń aż do obrzydliwości, aż do plugaństwa, do choroby i kalectwa, ociekać wrzodami, jak Nikodem z „Nocy nad światem“, szaleć rozpustnie jak „Łucja z Pokucic“, pić do białej gorączki, jak furman ze „Szkłanych koni“, a w rozpaczy chycić się „czegoś twardego“, jak Józefka i umierać w grozie bezsiły, jak ksiądz z Tykadłowa, co już nie mógł nadażyć za uciekającym zegarem czasu. Dokonało się to na kartach jej chłopskich noweli.

Naturulizm! powiecie. Tak się to podobno nazywało za czasów Żoli. Może raczej sensualizm, bo przecież wszystko w tych nowelach

jest wyczuwane naskórką. Tam się nikt nie bawi w sentymety. Twarde jest życie „ostatnich ludzi“ narobione ręce, zamulona skóra, stępiały umysł.

Supremacja peryferji nad środkami rzeczowemi jest tak organicznie wyczuła i precyzyjnie odtworzona, że chwilami zapomina się, kto to pisze. Osoba autorki pokrywa się całkowicie z postaciami jej bohaterów. Jest to niemal rachunek bez reszty. Ideałem byłoby takie wydoskonalenie i opanowanie techniki, żeby emocjonalna tęś faktu mówiła sama za siebie. Ale, żeby do tego dojść, trzeba by było się zupełnie indywidualnego pojmowania i ujęcia faktu. Otóż, jeżeli chodzi o człowieka, udało się to Dąbrowskiej całkowicie. Jest on takim, jakim go Bóg stworzył, to znaczy nie przyodzianym w pstręszatki sentymentów społecznych i paciorki retoryki.

Inaczej z naturą. Tę trudniej jest ująć od wewnątrz, albo też patrzeć na nią wyłącznie oczami „ostatniego człowieka“. W zetknięciu z kształtem, barwą, światłocieniem, łatwiej zdradzi się intelekt „kulturalny“, przemyci się niepotrzebnie jakaś przenośnia z „innego świata“, jakieś skojarzenie, pachnące literaturą.

Sprawiedliwość każe przyznać, że jeśli chodzi o stronę stylistyczną, to na tych „niewiernościach“ swemu własnemu dogmatowi przyłapać Dąbrowskiej prawie że niepodobna. Ale jest coś w zmysłowym, a nie wyłącznie utylitarnym lub wagetatywnym poczuciu krajobrazu, w pewności linii, w soczystości barw, w niedającym się zamaskować liryzmie pewnych nastrojów, coś, co świadczy, że podświadomie narzuconą sobie i pozornie z własnem ciałem zrosłą skórą odtwarzanego obiektu, pulsuje żywa, obca mu krew rasowego artysty.

Stwierdzenie tego faktu mogłoby być sformułowane jako zarzut z punktu widzenia zasady uniwersalizmu. Ze stanowiska wartości indywidualnych jest ono dużym plusem. Odkrywa bowiem szeroki widnokrąg możliwości przed organizacją twórczą tak bogatą i tak konsekwentnie opanowaną i każe z cierpliwością oczekiwać następnych jej wcieleń, które bezwzględnie po szczeblach hierarchji psychicznej doprowadzą ją do ostatecznego skryształowania i skonkretyzowania. *Stefanja Podborska Okołów*

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



DZIELNA AMERYKANKA

Przeciwnicy równouprawnienia kobiet wytaczają zwykle na poparcie swych teorii argument, że kobieta nie jest zdolną do zajmowania stanowisk samodzielnych i odpowiedzialnych, brak jej bowiem inicjatywy i woli.

Odpowiedź na te zarzuty daje samo życie — tam bowiem, gdzie kobiety dopuszczane są do wyższych i bardziej odpowiedzialnych stanowisk, widzimy, że z obowiązków swych potrafią się wywiązywać wcale nie gorzej, a w niektórych wypadkach może nawet i lepiej — niż mężczyźni.

Jako przykład służyć może pani Alicja Moyer-Wing, piastująca już od trzech z górą lat urząd naczelniczki państwowego Departamentu Kontroli pracy w stanie Missouri (dotychczas pierwsza kobieta na tem stanowisku).

Pracę swą prowadzi ona tak sumiennie i energicznie, że władze stanu złożyły jej specjalne podziękowanie w piśmie urzędowym, podkreślając, że „działalność jej służyć może za wzór dbałości o ścisłe przestrzeganie praw i wprowadzanie niezbędnych reform i ulepszeń.“

Reformy, o których mowa, dotyczą specjalnych praw ochronnych dla pracowników fabrycznych, które p. Moyer-Wing przeprowadzała i popierała nader usilnie. Dzięki jej energii i inicjatywie, stosunki w przemyśle fabrycznym w stanie Missouri przedstawiają się lepiej niż w innych stanach Ameryki Północnej.

Obejmując przed trzema laty swe stanowisko, pani Moyer-Wing, jak sama mówi, postanowiła sobie „zwyciężyć lub ustąpić“. Rozumiałam dobrze — mówi ona — że z chwilą objęcia przezemnie tak odpowiedzialnego stanowiska, oczy wszystkich — czy to zwolenników równouprawnienia, czy też jego wrogów — będą na mnie zwrócone. Wiedziałam, że praca moja będzie oceniana nie z punktu widzenia mojej osoby, jako takiej — lecz jako praca kobiety. Niepowodzenie moje, czy brak umiejętności stałyby się odrazu argumentem przeciwko dopuszczeniu kobiet na wyższe

stanowiska. Powiedziałam więc sobie, że albo się usunę, albo też potrafię tak pracować, żeby rezultaty przezemnie osiągnięte przyniosły prawdziwą korzyść memu krajowi i wykazały dowodnie, że i kobieta może być dzielnym obywatelem państwa“.

MATKA ZNAJDUJE ZABÓJCĘ SYNA

Pisma włoskie donoszą o niezwykłym fakcie wykrycia zabójcy przez matkę zamordowanej ofiary. Zbrodniarzem jest niejaki Giuseppe Aleo, młody, bo zaledwie dwudziestoletni chłopak, o bardzo miłej i pociągającej powierzchowności. Pomimo swego młodego wieku, Aleo był wyrafinowanym zbrodniarzem i mordercą. Zorganizował on szajkę bandytów-włamywaczy, na czele której dokonał całego szeregu napadów, rabując pieniądze i kosztowności i mordując bez litości tych wszystkich, którzy odważyli się stawiać mu opór.

Bandyci operowali w maskach i potrafili ukrywać się tak zręcznie, że przez bardzo długi czas policja, pomimo usilnych poszukiwań, nie mogła natrafić na ich ślady.

Dopiero matka jednego z zamordowanych przez Alea włóścian poprzysięgła, że nie zagna snu ani spoczynku, dopóki nie wykryje mordercy syna. Udała się więc do posterunku policyjnego i zaproponowała swe usługi w celu śledzenia zbrodniarza. Pozwolono jej przebrać się w mundur karabinjera i udzielono wszelkiej koniecznej pomocy, a po upływie pewnego czasu udało się rzeczycielce nie szczesnej matka odnaleźć kryjówkę zbrodniarza i oddać go w ręce władz.

NAJSTARSZA DAMA DWORU

W zeszłym tygodniu obchodziła 104-o letnią rocznicę swych urodzin p. Elsie Underwood Lisle, angielska dama dworu jeszcze od



czasów królowej Wiktorji. Cały świat arystokratyczny, literacki i naukowy Londynu pospieszył w dniu tym złożyć życzenia staruszce, która jest uważaną za jedną z najinteligentniejszych i najbardziej interesujących pań angielskich.

Pani Underwood Lisle otrzymała w młodości bardzo staranne i jak na owe czasy, bardzo wysokie wykształcenie, posiadała przytem wybitny talent do muzyki i śpiewu.

Marzyła o karierze scenicznej, zrezygnowała z niej jednak na usilne prośby królowej Wiktorji, której była serdeczną i bardzo zaufaną przyjaciółką. Talent jej muzyczny i dramatyczny miał niejednokrotnie sposobność podziwiać Dickens, który zachwycił się jej śpiewem i przesłuchał deklamacją na ówczesnych zebraniach towarzyskich.

W salonie p. Underwood Lisle bywali wszyscy prawie bez wyjątku wielcy pisarze i mężowie stanu współcześni. Do najbliższych jej przyjaciół należeli Tennyson, Dickens, Browning, Disraeli i kardynał Newman. Dickens zasięgał często jej zdania co do swych utworów i nieraz zdarzało mu się skreślić ustęp, który nie uzyskał aprobaty Miss Elsie.

Staruszka do chwili obecnej zachowała doskonałą pamięć (recytuje całe stronicę z dzieł Szekspira i innych swych ulubionych autorów), wszystkie władze umysłowe i fizyczne. Jedyną jej dolegliwością jest osłabienie wzroku, które nie pozwala jej na oddawanie się tak namiętnie przez nią lubionej lekturze. Każę jednak sobie codziennie odczytywać dzienniki, aby śledzić za tem co się dzieje na świecie.

NIE ZAZDROŚCIE MI!

Pewna współczesna autorka amerykańskich miała się podobno wyrazić, że w jej kraju 99 proc. kobiet marzy tylko o tem, aby zostać — artystką filmową. Laury i... dolary takiej Glorji Swan on, (która, jak wiadomo, zarabia 17½ tysiąca dolarów tygodniowo!) nie dają spać młodym amerykankom, uważającym siebie za niemniej „fotogeniczne“ od słynnych gwiazd ekranu.

Ażeby zniechęcić te zapalone adeptki sztuki kinowej do często bezowocnych prób i wysiłków jedna ze znanych i uznanych „gwiazd“ Asta Nielsen, ogłosiła w pismach pod powyższym znamienym tytułem opis jednego dnia swego życia.

„Codziennie o siódmej rano budzi mnie służąca oznajmieniem, że auto moje czeka już na dole.

Rozpoczyna się mój dzień pracy. Wskakuję do kąpieli, potem ubieram się pośpiesznie i jadę do „atelier” filmowego, gdzie za chwilę dokonywać się będą zdjęcia.

Atelier — to olbrzymia szopa podzielona na trzy części, a w każdej z nich robione są zdjęcia do innego obrazu.

Temperatura w tym lokalu bywa zależną od pory roku, a więc waha się pomiędzy 7 stopniami mrozu, a 40 stopniami gorąca. Atmosfera przesycona kurzem, dymem, napełniona stukiem przesuwanych dekoracji, nawoływaniem robotników, piekielnym turkotem maszyn... Przechodzę przez to piekło do swej garderoby, aby się ubrać i przygotować do gry. W ciasnej, malutkiej izdebce, pomieszczonej w pobliżu kabiny z motorami, szminkuję pośpiesznie swą twarz, starając się jednocześnie myśleć tylko o swej roli, wżyć się w nią i wczuć tak, aby za chwilę móc ją dobrze odegrać przed nieubłaganym aparatem, utrwalającym każdy gest, każde drgnięcie muskułów...

Zdjęcia, przerywane ciągłymi uwagami reżysera, zmianami dekoracji, powtarzaniem źle oddanych scen — trwają prawie bez przerwy dzień cały. Jeśli mówię — bez przerwy, — powinnam właściwie zaznaczyć, że przerwy są dla mnie cięższe, niż sama gra — w chwili bowiem, gdy siadam na wyplataniem krzeselku w kącie atelier, otacza mnie tłum statystek, z których każda w duchu ma się za daleko zdolniejszą artystkę ode mnie — i zaczynają mnie błagać, abym dopomogła im otrzymać rolę, jeśli już nie pierwszorzędną, to przynajmniej „prawdziwą” rolę, taką, którą im pozwoliła wykażać światu swe zdolności artystyczne!

I tak czas schodzi do 8 wieczór. Wracam do domu zbyt zmęczona, abym mogła myśleć o czemkolwiek innym jak o spaniu. Kładę zimne kompresy na oczy, zmęczone okropnem, jaskrawem światłem lamp kinowego atelier — jutro trzeba będzie przecież zacząć na nowo...

I tak oto upływają dni, miesiące, lata mojego życia. Wy wszystkie, które marzycie o „łatwych” laurach artystki ekranu, rozczarujcie się: praca moja jest ciężką, bardzo ciężką, a pieniądze, które mi ona przynosi, są doprawdy zarobione uczciwie!

Z. B.

Z KSIĄŻEK

Dwie książki mało znanego u nas autora — jedna wkrótce po drugiej — padły na półki księgarskie.*) Dwie książki, dwa światy myśli, dwa wręcz odrębne rodzaje formy, stylu, temperamentu, a te — jednakowe treścią najwnętrniejszych przemyśleń.

„Burek” — epopea zwierzęca, historia o wsiowym rycerzu zawadzając, niby jakimś psim Podbipięcie, zwykłym podwózkowym kundlu, który ma mięśnie, jak stal krzepkie i bezczelną odwagę... Myślałby kto, że zerwał się z uwiązania piekła, aby broić, szaleć na padole ziemskim. Ten paliwoda, pędziwiatr, urwipoleć rzetelnie jednak pilnował mienia pana swego. Do strzeżonej zagrody nikomu nie pozwolił przystąpić. Czujne oko miał na wszystko. A wygadany, siebie pewny, zapanował nad całym psim światem wsi okolicznych. W walkach o względy bogdanek zawsze zwyciężał. Głębły za nim najpiękniejsze suczki, przeginały się wdzięcznie, wyzywały pożądliwą mordką, a on, „pełen parobczańskiej fantazji” padał na przednie łapy w podrygach i wypowiadał oczami słodkie tajemnice.

Cały świat zwierząt mieści się w tej psiej epopei. Wszystko rozgadane, jak ludzie — żywą chłopską gwarą. Wygłasza sądy o człowieku całe ptasie bractwo: kury, kaczki, gęsi. Mamrocą kłątwy żarłoczne wrony. Żyje brawurowo, z rozmachem szkicowany — cały ten świat folwarczny, koło którego przechodzi snob — mieszczuch, nie widząc go.

Jan Wiktor patrzy, słucha i postrzega każdą zjawę pozaludzkiego tego bytu. Bierze ją animistycznie. Dusza stworzeń jest tylko pewną odmianą duszy człowieka, którego przemożnej sile musi ulegać. Koń, wół padnie, ale nie będzie stawił oporu poganiaczowi, choć jednym kopnięciem zwaliłby go bez trudu, bo panuje nad nim twardsza ludzka wola. A ta wola rzadko kiedy bywa przychylna zwierzęciu, chyba u dziecka, które ma w sobie jeszcze cały zaświat przyrody, tę jej mistykę, co złotą nicią wiąże niewiadome z tem, co nam się wydaje poznawalnym.

*) Jan Wiktor „Burek” i „Legendy o graku bożym.” Ozdobione drzeworytami Zdzisława Godliczki. Wydawnictwo „Płomień” Książnicy Naukowej w Przemysłu.



Bo my — obcujać z przyrodą — wyobrażamy sobie, że ją znamy, ale treść jej przenika tylko dziecko i poeta...

* * *

Młodość Burka jest jednym wybuchem humoru, życia, werwy, dowcipu, Lekko, a wnikliwie rzuca autor obrazy, które można malować. Bucha z tej książki temperament. Bucha w pierwszych rozdziałach szał, radość, swawola. Ale — jak życie ludzkie — pełna jest przemian i kataklizmów ta psia historia.

Po wesołej młodości przychodzą lata ciężkich doświadczeń. Zabierają Burka Niemcy do rozwożenia wózków ciężarowych. Buntuje się, gryzie lejce, wywala wózek, wpija zęby w skórę sprężniętej z nim razem zbieżonej suki. Na nic. Zmogła go ludzka siła. Pociągnął. Wrzyna mu się w żywe ciało postronki. Pędzi po deszczu i śniegu, gnany biczykiem poganiacza. A obok suną na smyczach mopsy, to wypasione bernardy.

Jak w świecie ludzkim — syci obok nędzarzy, lud czarnoroboczy obok sybarytów, snobów...

Zrywa Burek więzy. Ucieka od ludzkiej przemocy. Woli bezdomną tułaczkę, aniżeli pohańbienie swobody.

Z bezgranicznym współczuciem przedstawia Jan Wiktor świat psich włóczęgów — odrębny, sam w sobie, jak świat ludzi zebraków, świat rozwałęsanych chodzików, niepomnych nazwisk swoich, rodziny, młodości, stosunków.

Czasami jakieś wspomnienie... I wtedy dusza psa, czy moknącej na deszczu prostytutki, o którą ociera się zgłodniałe, sparszywałe zwierzę, szlochają szlochem jednakiem...

Przygarnia Burka człowiek — włóczęga, zapoznany, zgorzkniały malarz. Oba — wyrzutki społeczne — mają wzgardę dla ludzi. Oba — pies przy księżycu, wyjąć rozpaczliwie, malarz po pijanemu — klną swoją dolę.

Jeden akord ponury, jedna żałobna przepaść beznadziei.

* * *

Jakież czarno patrzy na świat Jan Wiktor! Po krotochwilnej, pełnej humoru i werwy pierwszej części Burka, jakież kiry osnuwają świat, życie, całą zjawę, wewnętrzną i zewnętrzną w dwóch drugich! — Chciałoby się błagać o jeden promyk słońca, o jedno dobre spojrzenie człowieka...

Bo niema dobrych ludzi w Burku. Jakich łaskawy odruch gospodarza — chłopa, umiającego ocenić wdzięczne psie stróżowanie, smakowity ochłap, rzucony w nagrodę za odpędzonych złodziei. Poza to sama złość ludzka, ślina nienawiści, drapieżne pazury jednych przeciw drugim — twarde, dokuczliwe wyklinanania.

Młody — tak sędzę — autor, a z takim gorzkim sercem wszedł w gaje twórczości!

Czyż każda radość, każda sielanka musi kończyć się kłętą życia?...

Tak — brzmi odpowiedź drugiej książki Jana Wiktora.

„Dusza ludzka jest jako przeczysta kropla rosy, z rajskich jasnych kwiatów miłości, rzucona w błoto życia.“

Nie płacze Chrystus nad męką swoją, nad ranami żywego ciała, przebitego gwoździami. Płacze nad tą duszą, unurzaną w w kałuży.

Dziwne. Oskar Wilde, oplwany przez swój naród, wystawiony na urągawisko w płaszczu aresztanckim, żeby naśmiewał się tłum z niego — artyści, poety, magnata, który w pogoni za wrażeniami, przekroczył granicę obowiązującej moralności. — O! Wilde w więzieniu — czytając ewangelję codzień rano — po sprzątnięciu i wyszorowaniu swojej celi — czerpał ze słów, czynów i wskazań Chrystusa naukę miłości. Gdy w pierwszym roku niewoli — łamiąc ręce, wołał: „kiedy koniec mojej męki?“ — w drugim, patrząc na surowe twarze dozorców, zdawał się deszczować w nich jakiś dobrotliwy uśmiech. Słońce zajrzało do ponurej celi. Zrozumiał drogę łaski najwyższej. Syn Boży rozbudził w sercu jego skrucę, która otwiera nowe życie. Więc — pełen miłości — już nie zlorzeczył nikomu i niczemu — ani doli swojej, ani własnemu społeczeństwu, które skrzywdziło go tak bardzo, — ale płakał z radości, że dane mu było przejrzeć prawdą wieczną.

Chrystus Jana Wiktora w „Legendzie o Grajkach Bożym widzi tylko zbrukaną i pohańbioną duszę człowieka, a pod koniec Golgoty, ma tylko ptaka wiernego, który czuwa nad Nim.

Gdzie Marja, Marta i nawrócona grzesznica Magdalena i cały zastęp uczniów, którzy w kryptach podziemnych głosili chwałę Jego, aż do chwili Zmartwychwstania, kiedy cud nawrócił tłumy?

Mrokiem przeklętej duszy ludzkiej tchnie Legenda tak samo, jak Burek.

Chrystus, który ukochał złych ludzi, bo wierzył w ich nawrócenie, wierzył, że — przejrawszy, żyć będą piękniej i mądrzej od pograżonych w konwencjonalnej cności Filistynów, — ten Chrystus nie zajął w głąb serca naszego autora.

Treść poematu?...

W przydrożnej wiejskiej kapliczce był obraz Chrystusa, zrobiony przez domorośłego malarza. Przedstawiał Syna Bożego na łące wśród kwiatów i ptaków. Twarz tchnęła pogodą, usta jaśniały słodyczą.

Człowiek stroił w przepych kaplicę i wywoływał imię Chrystusa w „piachu pacierzy,“ ale sam On był mu obcy. Rozumiała go tylko kwiaty i ptaki.

Chrystus wychodził często z kaplicy w słoneczne południe, siadał na kamieniu i mówił z ptakami, a stworzenia z przytępnym oddechem słuchały słów Jego dobroci.

Dnia jednego zeszedł Chrystus z kaplicy „grzesznych nawoływać, chorych nawracać.“

Ale nie poznali go ludzie. Padły słowa, przeżarte niewiarą. Tylko gromadka uczniów szła za nim w obłokach woni.

Ze złotych zbóż wyfruwały ptaki. W jednego z nich kamieniem ugodził chłopak. Chrystus wziął w dłonie martwy kłębek puchu i tchnął weń życie. Piak wskrzeszony był odtąd z Panem ciągle. Grajek Boży śpiewał pieśń miłości i zachwytu. Gdy odstąpili Mistrza wszyscy i zaparł się Go nawet Piotr — Apostoł, — ptak został. Szedł za Krzyżem na Golgotę. Zasnął twarz Boga skrzydłami, gdy rozbestwiona, światoburcza tłuszcza zamierzała się na nią gradami zeschniętego błota.

W siedmiu obrazach zamknął poeta swoją opowieść o męce Chrystusa i wiernym ptaku.

Piękna jest Legenda, mimo, że nic w niej nie zwiastuje promiennej jasności Zmartwychwstania błękitnej zorzy słowa Bożego, które miało dźwignąć świat.

Nie wiem, co powie o niej nasz modernizm?... Może to za kwieciste, za górne, za rozlewne dla współczesnych, którzy przywykli do krótkich, tępych zdań, rwanych, jak rytm śmigieł i motorów? Może za romantyczne, przypominające w końcowym ustępie „Słowika i różę“ Wilde'a?

Ale są tam odczute tak głęboko i z takim umiłowaniem kreślone obrazy przyrody, że one same już stwierdzają talent autora. Te łagodne zmierny, srebrne świty, kwietne obłoki, szumiące wody i faliste wzgórza, które słuchały Chrystusa, gdy ludzie Go słuchać nie chcieli — te orkany i wichry, rozpetane w chwili konania Chrystusa, — głos natury, tak ściśle zespolony z największą w dziejach ludzkości tragedją, mają swój urok nieprzejmowny.

W Burku jest nowy, żywy styl, oryginalna zupełnie — zapewne podkrakowska gwara chłopska, utrzymana w tonie do końca!

Obie prace każą nam powitać młodą siłą, która staje obok Dygasińskiego, Bartkiewicza, Malczewskiego, Wielopolskiej, Nałkowskiej w odtwarzaniu świata zwierzęcego. Każdy z tych autorów ujmuje go inaczej. Jan Wiktor w hierarchii animistycznej — stawia zwierzę ponad człowiekiem, ku czemu zresztą ma skłonność i Wielopolska, — ale każdy przyczynia się do rozbudzenia miłości dla tych naszych wiernych przyjaciół i zrozumienia wewnętrznej ich istoty.

C Walewska.

Z TEATRÓW



TEATR NARODOWY

Uroczysta reprezentacja ku uczczeniu 160-tej rocznicy założenia teatru królewskiego, a 150-tej istnienia Teatru Narodowego w Warszawie. Układ według projektu Ludwika Bernackiego. Ozdoby i dekoracje W. Drabika i S. Kamińskiego. Dział muzyczny i balet pod kierownictwem Emila Młynarskiego.

Od szarpających nerwy wrażeń i zdarzeń — od zgiełku i gwaru dnia dzisiejszego, przeniesiono nas na chwilę w zamierzchłą przeszłość, w one lata pamiętne, w pełną przedziwnych kontrastów epokę, w której bujny rozkwit nauki i sztuki występuje obok najstraszliwszej tragedji ginącego państwa i narodu.

Wionęło tchnienie z zaświatów, przemówili do nas najwybitniejsi ludzie owych czasów... Przez mgnienie „rękę na sercach nam kładli“ — ci, którzy byli najdoskonalszym wyrazem owego „świata odchodzącego — przekazującego swe wartości światu, który przychodzi.“

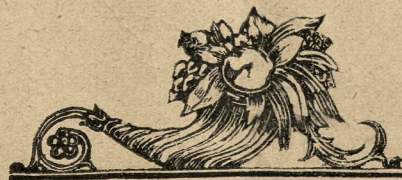
A wśród nich, jako pierwszy pośród równych, ukazał się oczom naszym ów „król potępiony,“ — a przecież współtwórca wieku oświecenia, król odnowiciel kultury, król esteta, co zapragnął w stolicy swej mleć teatr — to „zwierciadło z ducha i dla ducha.“

Wbrew rozpowszechnionemu bowiem mniemaniu — nie Wojciech Bogusławski, mąż zresztą wielce zasłużony, był ojcem Teatru Polskiego, ale właśnie król Stanisław August, — zaś najczynniejszymi pomocnikami i wykonawcami jego zamysłów książę Adam Czartoryski — generał ziem podolskich oraz ksiądz — jezuita Franciszek Bohomolec — redaktor „Monitora.“

Kiedy w 1765 roku zorganizowano staniem tych osób, pierwszy publiczny teatr polski, jako instytucję stałą wedle wzorów zachodnich, — Wojciech Bogusławski był zaledwie dzieckiem i dopiero w 1778 r. rozpoczął swą artystyczną, — a w lat kilka później i dyrektorską działalność, wspierany na każdym kroku hojnie i troskliwie przez króla — protektora.

Jak stwierdza pilny badacz epoki stanisławowskiej, prof. Ludwik Bernacki, — Stanisław August jeszcze przed wstąpieniem na tron, dążył do stworzenia własnego teatru, Zaraz też po objęciu władzy, nie bacząc na znaczne koszty, sprowadza do Warszawy lepszych aktorów komedji francuskiej, — a następnie balet i operę włoską.

W dniu 8-ym maja 1765 roku, w sam dzień imieniem królewskich odbyła się



pierwsza reprezentacja francuskich aktorów w „teatrum” przy ulicy Królewskiej, gdzie dziś, znamieną losów kolejną — gmach giełdy stoi.

Ale już w kilka miesięcy później — w listopadzie tegoż roku — z desek pierwszej polskiej sceny — przemówili w języku ojczystym aktorzy polscy.

Odegrano komedię Bielawskiego „Nątręci,” której współautorem był, jak wieść niesie, ponoć sam książę, generał ziem podolskich.

Uroczysty obchód rocznicy otwarcia pierwszego stałego „teatrum” w Polsce, urządzony dnia 8 maja r. b. w Teatrze Narodowym miał swój styl i wyraz najzupełniej właściwy.

Całość pomyślana bardzo subtelnie i pięknie, a wykonanie szarmonizowane z pomysłem. I nic dziwnego, jeśli najmniejsze nawet role objęli pierwszorzędni artyści, którzy z całym pietyzmem złożyli swe aktorskie ambicje na ołtarzu sztuki, nie uchylając się nawet od statystowania.

W słowie następnem, wypowiedzianem jasno i zwięźle, — prof. Bernacki (główny inicjator całej uroczystości oraz współautor „Obiadu Czwartkowego,” napisanego razem z p. Czapełskim) — zobrazował zajmująco dzieje stworzenia i pierwszych lat istnienia teatru w Polsce, poczem wystąpili stylowo ustrojoni trębacze i radosną fanfara rozpoczęli widowisko.

Rozsunęły się draperje i oczom naszym ukazała się wizja przeszłości — o barwach i blaskach, choć tak już dalekich, a jednak wciąż jeszcze żywych i sercu naszemu miłych.

W prześlicznej, stylowej, wiernie skopjowanej sali zamkowej, w barwnych, autentycznych kostjumach — na czwartkowym, słynnym obiedzie — wszyscy co najprzedniejsi w narodzie, z królem Jegomością pośrodku.

Toczy się dyskurs na tematy z kulturą i sztuką związane, niektórzy utwory swe odczytują... sprzecząc się i godząc.

W następnych punktach programu ujrzeliśmy komedię ks. Czartoryskiego „Panna na wydaniu,” odtworzona z doskonałym zastosowaniem ówczesnej manieri gry aktorskiej oraz sposobem reagowania słuchającej tych popisów wykwiłnej dworskiej „sosjety.”

Podczas antraktów orkiestra pod batutą p. Młynarskiego odegrała szereg staroświeckich utworów z tej samej epoki.

Po pięknym wierszu Or-Ota, wypowiedzianym przez p. Osterwę — ukazał się „balet heroiczny” z pantomimą w trzech aktach, „Sąd Paryse,” kompozycji p. Caseli i z muzyką K. W. Glucka, ogromnie barwnie stylowo i z wielką starannością wystawionego — w wykonaniu najlepszych sił naszego zespołu tanecznego.

Chcąc wymienić najświetniejszych wykonawców „Obiadu Czwartkowego” i archaicznej „Panny na wydaniu” trzeba by zaiste przepisać cały afisz. Wystarczy więc chyba, gdy wspomnę, że króla Stasia odtwarzał stylowo p. Śliwicki, Frenkiel dał przepyszny wizerunek biskupa Krasickiego, Chmieliński — Bohomolca, Solski — Mniszcha, sfrancuziałego Rzewuskiego grał Kotarbiński i t. d. i. t. d.

W „Panie na wydaniu” zbierały oklaski publiczności zarówno stan-sławowskiej — jak i współczesnej — panie: Aldona Jasińska, Mirska, Majdrowiczówna oraz panowie: Janowski, Myszkiewicz, T. Frenkiel, Owerło, Chmieliński i Różycki.

Za ten wieczór, szlachetnych wrażeń pełen, za to „obcowanie dusz we wzruszeniu estetycznym,” które dała nam sobotnia reprezentacja — należy się inicjatorom i wykonawcom szczerą wdzięczność i uznanie.

Zofja Guzowska

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazały się dzieła następujących autorów: *Wl. Rabskiego* „Walka z polipem” (zbiór feljetonów, drukowanych w przeciągu lat ostatnich jako „Kartki ulotne”); *Lorda Chestertona* „Sztuka życia” w przekładzie M. Wierzińskiego; *Gustawa Olechowskiego* wrażenia z podróży do Holandji p. t. „Listy z nizin”; opowiadania myśliwskie *Jana Szczepkowskiego* p. t. „Władcy kniei” oraz dziełko znanej działaczki na polu pedagogicznym, *Stefanii Marciszewskiej-Posadzowej*, p. t. „Pierwsze opowiadania historyczne dla dla małych dzieci.”

Institut Wydawniczy „Biblioteka Polska” wzbogaca nasz rynek księgarski nowymi, bardzo starannymi wydawnictwami dzieł *St. Wyspiańskiego*. Ukazały się dotychczas: „Meleager,” „Kłątwa,” „Protesilas i Laodemja,” „Sędziowie,” „Legenda” i „Daniel.” Z literatury współczesnej mamy interesującą książkę *J. Żyznowskiego* „Z Podglebia.”

Nakładem Instytutu Socjologicznego w Poznaniu wyszło w druku, jako pierwszy tom „Prac” tegoż Instytutu, bardzo interesujące dziełko *L. Dobrzyńskiej-Rybickiej* p. t. „Wybory powszechne w świetle psychologii społecznej i etyki.”

OD WYDAWNICTWA

Prosimy o uiszczenie prenumeraty za maj i przedpłaty na czerwiec b. r. PANIOM, KTÓRE NIE WPLACĄ ZALEGŁEJ PRENUMERATY DO DN. 24 B. M. WYSYŁKĘ TYGODNIKA BEZWARUNKOWO WSTRZYMYMY. Na przyszłość wysyłkę „Bluszczu” będziemy wstrzymywać wrazie nie nadesłania prenumeraty z góry do 15 każdego miesiąca. Prenumeratę przeto prosimy [wysyłać NAJPÓZNIEJ] do 7-go dnia po 1-szym miesiąca, gdyż nadane czekiem P. K. O.

pieniądze, dochodzą nas często dopiero w 5 dni od daty wysłania.

Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy 60 gr., a to dlatego, że do №№ za ubiegłe miesiące [musimy] płacić zwykłą należność pocztową (a [nie] ryczałtową). REDAKCJA i ADMINISTRACJA ODPOWIADA LI TYLKO NA KORESPONDENCJE Z ZAPŁACONĄ ODPOWIEDZIĄ (za listową 17 gr., pocztówką 12 gr.)

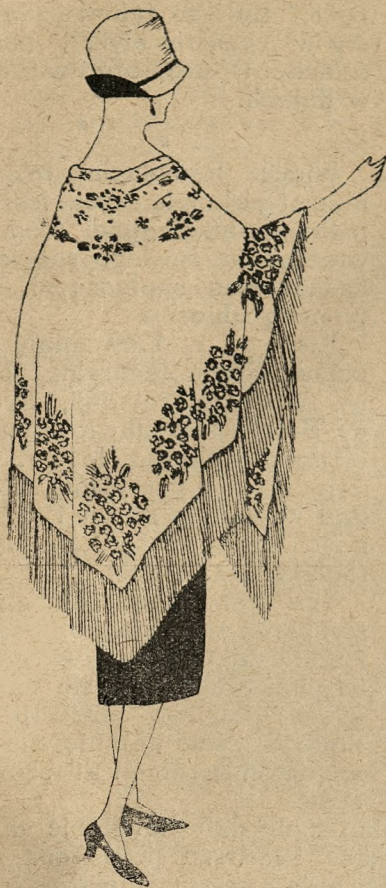
DO № BIEŻĄCEGO DOŁĄCZAMY podwójny dodatek powieściowy oraz DWA CZEKI P. K. O. Jeden czek ma służyć do wysyłki prenumeraty, drugi zaś do wysyłki kwoty 3 zł. na „ZBIÓR MONOGRAMÓW”, co do którego, bliższe wyjaśnienia znajdują się na drugiej stronie okładki.

DO № bieżącego i do №№ następnych „Bluszczu” dołączać będziemy Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobięcych osobno. Tylko bowiem drukowany osobno i w ostatniej chwili Komunikat zawierać będzie mógł zawsze świeżą kronikę życia kobiecego.

SZAL HAFTOWANY

rem, ale najmodniejsze i najmniej opatrzone są szale malowane i haftowane.

Aby ułatwić naszym Czytelniczkom posiadanie takiego właśnie szala podajemy model bardzo łatwy do wykonania, a zarazem bardzo efektowny. Zrobiony z całej szero-



Szal jest dzisiaj koniecznym dopełnieniem każdej niemal sukni, lub kostjumy, a nad morzem, lub w górach, na letnich wyjazdach zajmie jedno z pierwszych miejsc w naszych dodatkach toaletowych. Nosimy szale z barwnych, deseniowych jedwabów, rozszywane, lub lamowane innym kolo-



kości crêpe de chine'u lub crêpe marocain, a zakończony długą, jedwabną frendzlą — ozdobiony jest ręcznym haftem, którego deseń naturalnej wielkości załączamy. Wyhaftować go można sztucznym jedwabem, a dobór kolorów materiału i haftu zależy już będą od gustu właścicielki.

MODA A PRAWA CZŁOWIEKA

Ponsowy obcas, a prawa człowieka. — Wyzwolenie dziecka z niewoli mody. — Ostatni mistrz ceremonii ginącego świata. — Triumf koloru czarnego — Długie spodnie i „Pantaleon”. — Panowanie bustu; fichus, gorges postiches, les trompeuses. — Zamiast fryzury — kapelusz. — Demokratyzacja mody. — Pierwsze magazyny gotowej konfekcji.

Wielka Rewolucja nie tylko zgilotynowała znakomite głowy, ale i — obcięła wysokie obcasy, a jednocześnie z ogłoszeniem praw człowieka zabrano prawo do życia pudrom i sznurówkom. Hasło powrotu do natury, ogłoszone przez Russa, musiało odradzająco woływać na modę i pchnąć ją na dotąd nieznaną tory celowości, praktyczności i zdrowia. Nowe poglądy na życie i naturę radykalnie zmieniły postawę ludzkości wobec mody. Świadome swej siły społeczeństwo postarało się przedewszystkiem zrzucić dawną skórę, jako symbol niewoli. Z oburzeniem i wzdą odwrócono się od dworskiego stroju. Poszukiwanie nowych form życia zrodziło pragnienie zasadniczej zmiany i w tej dziedzinie.

Narazie najlepiej wyszły na tym prądzie dzieci, które dotychczas z pogwałceniem elementarnych zasad higieny i pedagogii, ubierano jak dorosłych. Jakże przykre wrażenie sprawiają jeszcze dziś ane-



1794 r.

micz e infantki Velasquezowskie, których dziecinne ciała ścisano sznurówką. Jakże śmiesznie wyglądają napudrowani i ufryzowani malcy, nędzna imitacja pretensjonalnych ojców.

Zasługa wyzwolenia dziecka z pod pręgierza mody i konwenansu należy się Anglii. Tam wcześniej niż gdzieindziej przestano krępować niemowlęta powijakiem, a starszym dzieciom pozwolono biegać na bosaka i z gołą głową. Rezultaty już w pierwszym pokoleniu były tak dodatnie, że angielski sposób ubierania dzieci rozpowszechnił się w imię zdrowia i na kontynencie, z nim dorośli zaczęli reformować swoje stroje według wzorów zapożyczonych z Albjonu.

Dlaczego właśnie stamtąd? Ponieważ życie domowe i obywatelskie Anglika wytworzyło typ psychiczny, wyrażający się właśnie w takim kostjumie, jaki najbardziej odpowiadał duchowi czasu i modnym upodobaniom.

Na kontynencie salon, w Anglii „home” nadawały ton modzie. Przyjmując styl angielski, tem samem protestowano przeciw znienawidzonemu porządkowi rzeczy.

Z tym nurtem podświadomym kojarzył się prąd higieniczny, zwalczający wysokie obcasy, sznurówkę u kobiet i ciasne ubranie u mężczyzn, jako szkodliwe dla zdrowia.

Pierwszorządnej sławy lekarze biorą czynny udział w tej walce, a Daniel Chodowiecki w wydawanym przez Ehrenberga w Lipsku „Almanachu dla niewiast” zamieszcza w r. 1785 cały szereg modeli „zreformowanych sukien kobie-

cych.” Były to typowe pomysły w „greckim stylu”, pełne szlachetnej prostoty i wdzięku w linjach.

* * *

Wielka Rewolucja między innymi położyła kres jeszcze jednemu zwyczajowi średnowiecznemu: ścisłego rozgraniczania klas społecznych za pomocą ubiorów.

Kiedy w r. 1789 miały się zebrać Stany Jeneralne, główny mistrz ceremonii, Dreux de Brézé, skwapliwie powrócił do protokołu z 1614 r. wydając szereg przepisów, które pod względem barwy i ozdoby stroju szczególnie upośledzały stan trzeci.

Ten krok, świadczący o niesłychanej ślepotie politycznej i braku taktu ze strony gorliwego dworaka, stał się zarzewiem wrogiego nastroju w łonie boleśnie dotkniętego temi ograniczeniami mieszczaństwa,

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Pierwsza płomienna mowa Mirabeau była wymierzona przeciw stanowym różnicom w ubiorze, a jedno z pierwszych postanowień Zgromadzenia Narodowego całkowicie te różnice skasowało. Czerwone obcasy, wyszukane pióra, cenne hafty, będące dotychczas wyłącznym przywilejem szlachty, zostały od jednego zamachu zdegradowane przez tryumfującą „tiers-état” do nizin liberji lokajskiej.

Cios był celnie wymierzony. Rok 1789 jest kresem ostatecznym prze-



1791 r.



1790 r.

pychu, zbytku i wspaniałości w ubraniu mężczyzny. Pod tchnieniem rewolucji pierzchają tęczne barwy, jak jednodniowe motyle. Pogardzana dotąd czerń, którą tak nieopatrnie ostatni mistrz ceremonii dogorywającego świata chciał narzucić mieszczaństwu, zapanaowała odtąd wszechwładnie, jako ulubiony kolor najwykwintniejszych sfer.

Trzeba było czekać z górą lat sto, aby przełom, który tak szybko dokonał się wśród mężczyzn, ogarnął także i świat kobiety. Jeszcze stosunkowo niedawno konserwatywne panie gorszyły się kapeluszymi swoich służących, dzisiaj nikogo one nie dziwią, czasem rażą tylko jaskrawością i brakiem gustu.

To, co się stało we Francji naprawdę z takim wysiłkiem i rozgłosem, oddawna już stopniowo i bez hałasu dokonało się w Anglii. Jak filozoficzna myśl angielska stała się europejską po przefiltrowaniu przez umysł Voltaire'a, podobnie i mody angielskie rozpowszechniły się na kontynencie dopiero wtedy, gdy prawo obywatelstwa otrzymały w Paryżu.

Długie spodnie męskie, charakterystyczne znamię epoki, dotąd jeszcze uważane za twór francuski, pochodzą z Anglii, gdzie były najprzód używane jako strój marynarzy. Ich to imieniem został ochrzczony „Pantaleon”, popularna postać komiczna z włoskiej „commedia dell'arte”.

Rewolucja sprowadziła radykalne zmiany w modzie kobiecej. Padły wielopiętrowe fryzury, — rogowka została skazana na banicję, Moda nie byłaby jednak modą, gdyby na miejsce dotychczas potwornie wydętych, obecnie zdetrinizowanych bioder nie wprowadziła na widownię jakiejś innej części korpusu.

Wybór tym razem padł na biust. Suknie pozostały szerokie i długie, bogato fałdowane i powłóczyste, jak widać na obrazach Reynoldsa i Gainsborough. Staniczki zwane „caraco”, z półdługimi rękawkami wysoko były zasnurowane, wydłużając piersi. Około r. 1793 modne damy wyglądały, jakby miały wole. Rozchylone wycięcie przykrywało się gazowemi chusteczkami, „fichus”.

Zrazu lekko tylko i po brzegach osłaniające biust, zaczęły się stopniowo posuwać ku górze, aż doszły do podbródka i wtedy zaczęto je podbijać atłasowemi „gorges postiches”. W tej formie otrzymały wymowną nazwę „les trompeuses”. Olbrzymie fryzury dosięgające takich rozmiarów, że twarz znaj-

dowała się pośrodku całej postaci, teraz znacznie zmalały. Podobno Marji Antoninie po urodzeniu pierwszego delfina tak wyszły włosy, że nie starczyłoby pozostałych na staromodne uczesanie. Zaprzestano więc je spiętrzać, puszczając swobodnie falujące kędziory na plecy, aż do pasa. W dalszym ciągu pudrowano koafiurę, a ponieważ szkoda było pozbyć się całego bogactwa wstęg, kwiatów, piór, egretek, które przemyślni fryzjerzy dotąd wpinali we włosy, przeniesiono pstrą czeredę na kapelusze, które stały się godnymi spadkobiercami wszystkich wybryków mody, jakim dotąd ulegały pokornie głowy kobiece i jakim odtąd bynajmniej nie ważyły się przeciwstawiać.

Zmieniono tylko nazwy kolorów zgodnie z duchem czasu. Zamiast „caca Dauphin”, „vomissement de la reine”, „Cardinal sur la paille”, wprowadzono określenia: „à la Républicaine”, „à l'Egalité”, „à la Carmagnole”; wszyscy nosili kokardę narodową, raczej z poczucia bezpieczeństwa, niż ze szczerego upodobania.

W wyborze materiałów również nastąpiła zmiana. Drukowany „kartun” i wełna drzewna wyrugowały atłasy i aksamity, pociągając za sobą upadek przemysłu jedwabnego we Francji.

Ogólne rozpolitykowanie, emigracja i zubożenie wyższych warstw społeczeństwa na pewien czas zahamowały rwący potok mody.

W czerwcu 1790 r. zanotowano fakt wiekopomny! od sześciu miesięcy nie zmieniła się moda.

Słynne mistrzyni sztuki krawieckiej wyniosły się z Paryża. Mlle. Bertin, modystka Marji Antoniny udała się w r. 1792 do Moguncji, skąd ją cesarzowa ściągnęła do Wiednia.

Rozkosze i dobrodziejstwa mody, uprzystępnia się dla wszystkich przez zakładanie magazynów z gotową konfekcją. W r. 1791 Quénin jeune otwiera taki skład dla obywateli, Mme. Teillard dla obywaterek. Zostają rozesłane drukowane cenniki. Pomysł francuski wprędce znajduje naśladowców, zwłaszcza wśród praktycznych Niemców.

Moda kroczy trop w trop za życiem i jak ono gwałtownie się demokratyzuje.

Spero

PIERWSZE WYŚCIGI

Biedne Warszawianki! Od dwóch tygodni cieszyły się na otwarcie wyścigów, szykując jasne kostjумы i fantazyjne pantofelki, a tu jak na złość deszcz padał od samego rana. Podczas samych wyścigów nie było wprawdzie deszczu, za to wilgoć, błoto i zimno odstraszyło wiele osób. Piękne panie z bólem serca zostawiły w domu nowe tualety i ubrały się w ciemne kostjумы, gum we płaszcze, lub nawet zimowe futra, które zresztą na wilgoci niezbyt szczęśliwie wyglądały. Dużo widziałam etoli, pelerynek i żakietów z kretów (te ostatnie najładniejsze). Krety, niestety niezbyt praktyczne, są jednak bardzo miłym i twarzowym futrem, świetnie nadającym się do demisezonowego ubrania. Prześlicznie wyglądają przy kretach filcowe lub słomkowe kapelusiki, koloru cyklamene. Wiele pań miało przy kostjumach etole ze skunksów, nurków, a nawet z soboli. Te ostatnie spotykają się obecnie bardzo rzadko i może właśnie dlatego nadają ubraniu charakter specjalnie wykwintny. Najlepiej wyglądały obcisłe kostjумы „trotteur” i sportowe pantofelki o szerokim angielskim obcasie. Fantazyjne lakierki na cienkich wysokich obcasikach śmiesznie grzęzły i koszały się w rozmoczonej grunicy. Tak samo nieszczęśliwe były posiadaczki pretensjonalnych kapeluszy, przybranych tiulem lub rajarami, które na wilgoci wyglądały wprost rozpaczliwie. Pleureuse'y nigdy jeszcze nie usprawiedliwiły tak dobrze swej smętnej nazwy, a pod niemi trzepotały żalodne kosmyki rozfryzowanych włosów. Za to szczęśliwe posiadaczki eleganckich skórzanych kurtek i małych skórzanych kapelusików, osłaniających szczelnie włosy, wyglądały prześlicznie i zdawały się urągać pogodzie.

W. L.

Z KSIĘGI PRZYSŁÓW

W zdrowem ciele zdrowa dusza.

Jednym, z najbardziej może zaniedbanych obowiązków, jest obowiązek dbania o własne zdrowie.

O doniosłości jego nie trzeba, zdawałoby się, przekonywać nikogo — jednak w praktyce rzecz ta przedstawia się zupełnie inaczej.

Z przykrością stwierdzić trzeba, że obok kobiet, u których chęć leczenia się przechodzi nierzadko w manję, jest cały szereg takich, które karygodnie nie doceniają tej tak ważnej



sprawy, tylokrotnie cięższej potem jak głaz, na szali ich życia,

Pomijając godny uwagi obowiązek względem samych siebie, poruszę tu dziedzinę inną; a mianowicie obowiązków względem drugich, a w pierwszej linii najbliższego otoczenia.

Zacząłam od słów starożytnego mędrca: „W zdrowym ciele, zdrowa dusza!“ Nikt nie zaprzeczy jaskrawej prawdzie słów tych, jak również i temu, że zdrowe ciało i zdrowa dusza kobieca, wydają na świat i kształtują zdrowe społeczeństwo. Już to jedno wystarczyć winno, jako argument o sile dostatecznej, jednak nie wszystkie z nas dorosły do brania życia z tak odpowiedzialnej strony; dlatego też przytaczam szereg mniej szczytnych a niemniej ważnych, które trafią do serc wszystkich.

Najtrudniejszym może do wykorzenia z natury kobiecej, będzie brak umiejętności i chęci zajęcia się samej stanem swego zdrowia, poradzenia się lekarza z własnej inicjatywy, dostosowania swego regime'u do koniecznych w czasie kuracji zarządzeń, dbałości o zażywanie zaleconych lekarstw i t. d. Mężczyzna najczęściej odpowiada na pierwszy dzwonek alarmowy poddaniem się opiece lekarza, kobieta czeka, aby się nią zajęto.

Wieżnie głodna objawów serdecznego ze strony najbliższych zainteresowania, czuje się przytem jakby zdegradowana egoizmem dbałości o samą siebie, nie doceniając, a nawet często nie rozumiejąc, że daje największy dowód dbałości o otoczenie jeżeli stara się zachować wszystkie walory, idące w parze ze zdrowiem duszy i ciała. Dalszym, a tak częstym niestety objawem, jest zdecydowanie się pod presją na krok początkowy, poddanie się tak kosztownym konsultacjom, analizom i prześwietlaniom, a porzucenie wszelkich zabiegów przy pierwszym objawie polepszenia.

Odpowiedź na te zarzuty znam z góry: „Nie umiem myśleć o samej sobie“ Darujcie mi wszystkie te, które dotknę, ale to nieprawda! Umieemy, aż nadto, dobrze dbać o siebie tam, gdzie należałoby może słusznie dać pierwszeństwo innym, tutaj jednak czekamy przeważnie, aby znalazł się ktoś, kto na pierwszy plan wysunie troskę o zażyte, lub nie zażyte przez nas lekarstwo. Wszak tylokrotnie daje się słyszeć z ust kobiecych dziecinne twierdzenie: „pocóż się mam leczyć, jeżeli nikt nie dba o moje zdrowie“. Ten potępiony nikt, to przeważnie mąż, lub dorosłe dzieci, porwane wirami życia. Proszę zatem o odpowiedź

szczerą i bezstronną. Czy przeciążeni walką o chleb powszedni, pochłonięci pracą twórczą, są w stanie okazywać nam przywiązanie w każdej minucie dnia, szeregiem drobniawych zainteresowań i czy pominięcie, lub niedoceniecie takowych, świadczy tak bardzo przeciwko nim?

Kobieta, bagatelizująca swoje zdrowie, kobieta, która nie docenia ważności usunięcia zła w zarodku, prędko staje się pastwą najróżnorodniejszych dolegliwości, traci radość życia, patrzy na świat w czarnych kolorach, jest skłonna do zgryźliwości, złych przeczuć, zgorzknienia i działa destrukcyjnie na cały organizm domowy. Zamiast być radością, podporą, powiernicą i najlepszym przyjacielem, a wpływem swym i jasnym sądem chronić od omyłek i powstrzymać, niejednokrotnie, nad przepaścią tych, z którymi przez wyboistą życia idzie drogę, staje się kulą u nogi, a każda chwila z nią spędzona, to przymus największy, gdyby nawet szczere i głęboko zakorzenione przywiązanie, pod wpływem tak niekorzystnych nastroi, przetrwało.

Najbardziej może upośledzona ze wszystkich, bo cierpiąca i słaba istota, staje się prawdziwie i głęboko nieszczęśliwą. Nie zna uśmiechu, obowiązki są jej ciężarem, praca katogą, a każdy najmniejszy czyn, wysiłkiem ponad miarę.

Kobieta, która ma zdrowy sposób patrzenia na życie, wie, że największym jej skarbem jest zdrowie, siła i płynąca z nich odporność, wraz z tak niezbędną do życia umiarkowaną dozą optymizmu.

W organizmie, który funkcjonuje prawidłowo, nie lęgnie się robak, toczący duszę. Oczy zamieszkałe w zdrowym ciele, patrząc na świat, widzą i chłoną całe jego piękno, radość życia opromienia nawet najskromniejszą egzystencję, wyniki pracy cieszą, każda wolna

chwila ma cudowny smak owocu hodowanego własnym wysiłkiem.

Towarzystwo osoby, której zdrowie daje równy, niepodlegający fantastycznym wpływom humoru, ma nieprzeparty urok. Dom przez nią prowadzony tchnie pogodą, dodatni sąd o ludziach, przymieszka własnej rozświetlonej słonecznością, stwarza dokoła krąg przyjaznych prądów, które wypowiedając się życzliwością ludzką, są na równi ze zdrowiem, najważniejszym czynnikiem w życiu. Matka, zdrowa na ciele i duszy, niepodlegająca napadom „Weltschmerzu“, wypuszczając z gniazda w świat pisklęta o silnych lotkach, do owocnego zdolnego czynu.

Żona, pogodna, równa i wyrozumiała, obca kapryśnym pretensjom, wytwarza dokoła atmosferę pomyślną dla twórczej pracy, serce jej i myśl, którą szczepi na dziczkach młodocianych istnień, rzucają zawsze zdrowe ziarno, a niewdzięczną użyźniając glebę, nie zatrzymują się nigdy w pół drogi, z tchnącym słabością słowem: „nie warto!“

Jeszcze jedna, dla wielu kobiet najdonioślejsza sprawa, sprawa urody! „Piękna twarz jest listem polecającym, w jaki natura uposażyła człowieka“, mówi Wolter. A cóż jest w stanie okrutniej i bezpowrotnie podkopać urok, najsłabszej urody, jak piętno, które kładzie na niej choroba? Przygaszonym oczom, żółtej cerze, wyblakłym wargom, ruchom, których sprężystość i lekkość paraliżuje wieczne zmęczenie, nie oprą się, najklasycyjsze rysy i najbardziej harmonijna postać.

Jeżeli po długoletnim bagatelizowaniu zagadnień, tak ważnych, jak podtrzymywanie i zasilanie naszego organizmu, jak leczenie w zarodku wszelkich, groźących zgułbnymi następstwami dolegliwości, przypadnie nam w udziale starość, zaprawiona goryczą niemocy, zniekształcająca i rozżalona wspomnieniem wszystkich przeżytych cierpień, szukajmy conajmniej trzech czwartych winy w samych sobie. Nie mówię tu o nieszczęśliwych jednostkach, których istnienie los już u kolebki naznaczył niemocą. Z nich najnieszczęśliwsze, to szereg dziedzicznie obciążonych, którym najczęściej już nic i nikt pomóc nie mogą.

Mówię o tych, które przynoszą ze sobą na świat skarb siły i zdrowia, a w lekkomyślnej wierze, że jest wieczny, trwonią go bezpowrotnie. Jeżeli staną kiedyś w obliczu tragedji, jaką stwarza niemoc, będą niestety musiały powiedzieć sobie ze smutnym uśmiechem: „Tu l'as voulu, Georges Dandin!“ W.



PIELĘGNOWANIE WŁOSÓW

Zanik pięknych i bujnych włosów daje się zaobserwować, już od dłuższego czasu. Jakże rzadko obecnie spotykamy, opiewane w literaturze, cudne warkocze naszych babek i prababek!

Niewątpliwie piękne włosy, długie i puszyste były uznawane za najcenniejszą ozdobę urody kobiety.

Ale wszystko się zmienia i dziś widzimy dużo uroku w główce o ostrzyżonych włosach, chociaż zawsze pozostanie ważnym gęstość, połysk i bujność choć i krótkiej czupryni, co uzyskać, czy poprawić można tylko przez racjonalną pielęgnację włosów.

Jakie czynniki wpływają na zanik włosów? Są nimi: 1) dziedziczność, 2) ogólny stan zdrowia, 3) tryb życia, 4) nieracjonalne i niedbałe pielęgnowanie włosów.

Dziedziczną jest, w większości wypadków, bujność włosów, zarówno jak przedwczesne wypadanie i siwizna. Zwykle dzieci rodziców o pięknych włosach mają też piękne i bujne

Często zaobserwować można fakt, że gdy jedno z rodziców ma piękne włosy, a drugie słabsze, dzieci mają średnie, lub takie jak jedno z rodziców, zależnie do którego są podobne.

Dzieci o słabych włosach, zwłaszcza przy nieodpowiedniej pielęgnacji mają już włosy zupełnie liche.

Dziedziczy się nie tylko barwę, lecz i jakość włosów. Włos może być cienki, gruby, mocny, słaby, prosty i falisty. Każdy więc osobnik przychodzi na świat z włosami o indywidualnie różnych właściwościach.

Drugim czynnikiem zasadniczym jest zdrowie. Wszystkie choroby chroniczne, wyniszczające organizm, jak: gruźlica, choroby kobiece, anemia, wyczerpanie ogólne, choroby skórne i płciowe, nowotwory, choroby zakaźne, powodują wypadanie włosów.

Jest to ogólnie znane zjawisko, że po wszystkich ostrych, zakaźnych chorzeniach np. tyfusie, róży i t. p. i po każdym cierpieniu, wymagającym dłuższego przebywania w łóżku, organizm osłabiony traci włosy całymi pasmami.

Jest to jedna z najłagodniejszych form utraty włosów. Organizm szybko przychodzi do normy, a więc i włosy na nowo się regenerują.

Trzecim czynnikiem, wpływającym na porost włosów, jest tryb życia.

Wszystkie wady psychiczne, cierpienia, troski, przemęczenia, brak snu, za mały wypoczynek, złe odżywianie, brak ruchu, powietrza i słońca, mieszkanie niehigieniczne, nieodpowiednie zaspakajanie życia seksualnego, są to wszystko przyczyny, wpływające na gęstość i porost włosów.

Czwartym czynnikiem najważniejszym jest odpowiednia pielęgnacja włosów. Ażeby posiadać umiejętność racjonalnego pielęgnowania włosów, należy, chociaż w grubszych zarysach mieć pojęcie o jego anatomii.

Jak włosy, tak też i paznokcie są wytworami naskórki, pokrywającego jak gdyby powłoką cały organizm ludzki. Włosy przedstawiają się jako nitki, a paznokcie jako blaszki.

W rozwoju włosów, pokrywających skórę człowieka, rozróżniamy trzy okresy. Pierwszy okres rozwoju włosa to już w piątym miesiącu życia zarodkowego, cały płód jest pokryty włosami, zwanymi lanugo. Włosy te w formie puszek, pokrywają całe ciało i po 40 dniach wypadają. Przychodzą nowe włosy, z którymi niemowlę rodzi się na świat.

A więc włosy zarodkowe ustępują włosom dziecięcym. O ile ta zamiana nastąpi wcześniej w życiu płodu, dziecko rodzi się z długimi włoskami, które zostają, aż po czas pokwitania, t. j. po wiek dojrzałości gruczolów płciowych. Jeżeli zaś nastąpi opóźnienie w życiu płodu tej przemiany, to dziecko przychodzi na świat z główką nagą, lub pokrytą tylko puszkami. Z chwilą dojrzewania gruczolów płciowych, zjawia się typ trzeci, końcowy, włosów silnych, mocnych, trwałych.

Naturalnie, zmiany te postępują powoli, nieznacznie. Przez całe życie typ włosów końcowy pozostaje, ale też ciągle jedne włosy wypadają, a inne natomiast wyrastają, zawsze jednak niewidocznie dla oka.

W czasie pokwitania t. j. dojścia do dojrzałości płciowej, pojawiają się włosy długie i grube, na wzgórku łonowym, na częściach rodnych, pod pachami, na wardze górnej, policzkach i brodzie.

Bardzo ciekawym i niezbitym pewnikiem jest oddziaływanie gruczolów płciowych na uwłosienie. Jeżeli czynność gruczolów jest upośledzona u mężczyzn (hermo-

frodytyzm) widzimy zupełny zanik uwłosienia na twarzy.

U kobiet zaś przeciwnie — upośledzona czynność jajników jest powodem porostania włosów na wardze górnej i brodzie.

Faktem jest, że kobiety cudaki z długimi brodami, mają stale нефункционирующие prawidłowo jajniki.

U zwierząt występuje objaw ten nie mniej wybitnie: paw na okres godowy ubiera się w piękne pióra, które traci natychmiast po weselu.

Na ogół rozróżniamy trzy rodzaje włosów: pierwsze długie włosy głowy, brody, pod pachami i na wzgórku łonowym — drugie krótkie i cienkie, meszek włosowy, pokrywający całe ciało i trzecie szczątkowe, krótkie: rzęsy, brwi, włoski w nosie i w uszach.

Wszystkie te trzy rodzaje włosów różnią się tylko grubością, długością i b. nieznacznie odmienną budową.

W każdym włosku rozróżniamy trzon włosa, występujący ponad powierzchnię skóry i część tkwiącą w skórze, t. j. w tkance podskórnej, t. zw. korzeń włosa.

Włos tkwi w skórze w odpowiednim wgłębieniu; wpuklenie to nazywamy torebką włosową. W miejscu gdzie włos się wydobywa na zewnątrz — nazywamy lejkiem.

W dolnej części torebki, znajduje się brodawka włosa. Brodawka włosa wciska się w korzeń. Tę część nazywamy cebulką włosa.

Z obumarciem cebulki, włos zamiera, po 75 — 90 dniach wypada i tworzy się nowy, wytworzony przez nową brodawkę włosa.

Włos obumarły tkwi zatem w skórze przez dni kilkadziesiąt, nim wypadnie.

Zupełnie tak jak paznokcie na palcu, naskórek na ciele, powoli się regeneruje, bez widocznej zmiany.

Jest to cudowna równowaga w organizmie, dzięki której następuje ta przemiana. Włos jest więc wytworem skóry, jest wytworem brodawki włosowej.

Zaburzenia w zdrowiu skóry, odbijają się na zdrowiu włosa.

Trzon włosa składa się z rdzenia, kory i osłonki. Rdzeń i kora zawierają barwniki — od ilości których zależy barwa włosów, od jasno blond do krucznych. Siwienie polega na zatracaniu barwnika i nie możliwości odtworzenia go i na przedostawaniu się powietrza do komórki włosowej.

Włosy nasze mogą podlegać chorobom: 1) gdy przyczyna leży w samym włosie, 2) w skórze, lub 3) w samym organizmie.

(c. d. n.)

Dr. med. Julja Świtalska.



Z TEKI MOJEJ BABKI

Nieraz, zagładałam do „teki mojej babki”. Tak nazywaliśmy, w dziecinnych latach, dużą, wyrudziałą ze starości torbę, pełną porządnie poskładanych i podobieranych, poźółkłych karteczek z bezcennymi przepisami z dziedziny gospodarstwa, ogrodu, higieny, pielęgnowania młodości i urody, no—i nawet zdobywania serc upragnionych za pomocą tajemniczego preparatu — „lubczykiem” zwanego, niezawodnego jakoby w swoich skutkach. Zamieścić go tutaj niestety nie mogę; wobec nowożytnych sposobów podbijania serc, uplastyczniających się w modnych pozach, tańcach i flirtach, byłby co najmniej — nie na miejscu; ktoś musiałby się zarumienić—ale czy uosobiona w nim przeszłość? — Nie wszystkie jednak recepty z „teki mojej babki”, kwalifikują się choćby pod przenośnią, do koszał! Są tam znakomite, wypróbowane przepisy różnych przysmaków godnych najwykwintniejszego podniebienia, zwłaszcza nalewek i likierów, którymi zapijali się u nas goście przy każdej uroczystości. Na codzienny bowiem użytek i zwykłe przyjęcia, były za drogocenne. Przeglądając przed niedawnym czasem te skarby przeszłości, postanowiłam nie chować ich zazdrośnie dla siebie, ale podzielić się z takimi, którzy tak jak ja, podziwiając postęp nie gardzą doświadczeniem przeszłości. A więc, na pierwszy plan wysunę sławną niegdyś Redłówkę tak zwaną od jej wytwórcy pułkownika wojsk Polskich Redla, miłego i cenionego, bardzo w kole znajomych człowieka. Na starość, z potrzeby, przyrządzał i sprzedawał tę wódkę, kryjąc zazdrośnie tajemnicę jej wyrobu.

Mało kto znał jego sekret udzielał go bowiem niechętnie i tylko wyjątkowo lubianym osobom, z zastrzeżeniem, że go nie wyjawia nikomu, to też autentycznego przepisu nie ma nikt prawie. Jedną z tych rzadkich uprzywilejowanych osób—była moja babka, a że teraz kiedy tak o „nieboszczyku Redlu”, jak zwykła była mawiać, jak i o niej w kołach w których się obracali prawie, że już zapomniano nie popełnię niedyskrecji, wyjawiając drogocenną tajemnicę: 2 litry najlepszego spirytusu, dobrać litrem i pół przegotowanej dobrej źródlanej wody, rozdzielić ten płyn w dwa szklane litrowe gąsiorki w jeden włożyć, cztery lub jeżeli bardzo małe 8 świeżych zielonych gorzkich pomarańczy (dostać je można w każdej większej oranżerii

np. w Łazienkach) niech poleżą w wódcie nie więcej jak 3 dni. W drugi gąsiorek włożyć funt najlepszych koniecznie francuskich śliwek, potłuczonych na miazgę w moździerzu razem z pestkami. Po 2 dniach zlać płyny z obydwóch gąsiorków zmieszać razem przefiltrować przez szwedzką bibułę od razu w butelki, mocno zakorkować, trzymać w cieniu najmniej 3 miesiące, po upływie tego czasu dopiero używać — będzie wyborna. Druga wódka, nie gorsza od pierwszej, choć nie tak renomowana, to gorzka, „kura cyjną” zwana; pito ją dla wzmocnienia żołądka:

W dużą szeroką kompotjerę, wkłada się tyle gorzkich pomarańczy ile nakryje $\frac{1}{2}$ litra najlepszego spirytusu, dodaje się 50 gr: suchych gorzkich pomarańczy, cienko okrojona skórka z 4 świeżych pomarańczy i dolewa drugim $\frac{1}{2}$ litrem spirytusu. Zawiazaną woskowym papierem kompotjerę, stawia się w cieniu na 4 dni, po upływie których, zlewa się płyn przez gęsty muslin. Z funta cukru, pokropionego lekko wodą, robi się karmel, mocno rumiany ale nie spalony, w chwili gdy już gotowy, wlewa się w niego szklanek wody gorącej i prędko miesza z cieczą pomarańczową.

W dużym szklanym gąsiorku dobrać 2 litry najlepszego spirytusu, 2-ma litrami przegotowanej wody, wódka powinna mieć 40-st.

W sześć godzin po odebraniu, kiedy się wódka zupełnie przegryzie i sklaruje, wlać w nią karmelowo — pomarańczową esencję, dobrze wstrząsnąć i wynieść do piwnicy co najmniej na 3 miesiące. Po upływie tego czasu, przefiltrować starannie w butelki i używać. Jeszcze jedna znakomita wódka: litr najlepszego spirytusu, butelkę dobrego wytrawnego węgierskiego wina, kieliszek śliwowicy, wlać w gąsiorek, 25 gr. chleba świętojańskiego 12 gr herbaty 60 gr. cukru, zagotować razem w $\frac{1}{2}$ litrze wody, nalewając zimną. Po wystudzeniu, przefiltrować przez watę lub bibułę, zmieszać z poprzednim zinnym preparatem i pozostawić w cieniu, co najmniej na 3 miesiące. Po upływie tego czasu, można ją wziąć do użytku. Nazywa się „świętojanka”.

Z oryginalną nazwą i smakiem znajduję jedną jeszcze mocną wódkę — nazywa się „papieżówka” a robi w sposób następujący: Litrami najlepszego spirytusu dobrać pół

litrem przegotowanej wody, 100-gr. fig, 100-gr. malagi, 50-gr. chleba świętojańskiego — pokrajanego w cienkie paseczki, nałożyć w gąsiorek szklany — dodać 2 listki bobkowe i nalać poprzednio dobranym spirytusem — zakorkować mocno i postawić w cieniu na dwa do trzech tygodni. — Następnie zlać — przefiltrować w butelki przez szwedzką bibułę, wynieść do piwnicy i zapomnieć o niej na pół roku, — będzie doskonała. — Nie chcąc zbyt długo zajmować moich Czytelniczek przedmiotem, nie interesującym moim że wszystkich, dam jeszcze tylko przepis prawdziwego „krupniku polskiego”. Dawniej kiedy likiery nie były tak rozpowszechnione, a wysoka cena zagranicznych, jedynie używanych, nie dla każdego była dostępna, krupnik pito ogólnie. Dziś pozostał tylko we wspomnieniach, mało kto go zna, ale pewna jestem, że kto go pozna z przepisu, zawartego w tece mojej babki, stanie się jego wiernym zwolennikiem. Na litr spirytusu wziąć pół litra miodu, w miód ten wlać szklanek wody i gotować ciągle, szumując aż zupełnie będzie czysty. Osobno wygotować w szklance wody: cynamonu łaskę, 10 sztuk gwoździaków, czwartą część gałki muszkatelowej kwiatu muszkatelowego parę listków i łaskę wanilii. Gotować pod przykryciem, skoro wygotowane, włożyć trochę skórki pomarańczowej uważając żeby płyn od niej nie zgorzkniał. W gorący miód wlewa się spirytus i wygotowane korzenie i prędko póki gorący, przelewa przez gęsty flanelowy worek, skoro ostygnie, zgęstnieje tak, że się nie da przedzielić! Z robotą krupniku, zwłaszcza z wlewaniem spirytusu w gorący miód trzeba być bardzo ostrożnym — trzeba to robić zdaleka od ognia — bo zapali się w powietrzu i wlewać powoli, ciągle mieszając, zwłaszcza póki miód bardzo gorący. Krupnik ten wlać w butelki i używać w miarę potrzeby im starszych — tem lepszy. Przepisami doskonałej starki, wyborowych, słodkich nalewek i likierów, o wiele lepsze jak fabryczne bo czystych bez gliceryny i innych domieszek, podzielię się z moimi Czytelniczkami w następnych numerach. Dziś daję jeszcze kilka niezbędnych przy robieniu wódek wskazówek, z których najgłówniejsze. 1) używać jedynie spirytusu najwyższej próby, a cukru tylko rafinowanego, 2) nie trzymać za długo spirytusu na owocach lub skórkach, bo straci aromat, a nabierze kwasu. 3) najważniejszy, chociaż najtrudniejszy do wykonania warunek, aby po zrobieniu wódek, zostawić je w cieniu, przynajmniej na trzy miesiące, 1. 5



DEKOROWANIE PÓŁMISKÓW

Na wsi u krewnych podano mi wyborną pieczeń cielęcą, doskonale upieczoną i pokrajaną, udekorowaną bukietem lewkonji i rezedy, zatkniętych pod kość, — łodygi smętnie tonęły w sosie, — żal było, żal serdecznie zmarnowanych kwiatów i miałam takie uczucie jakbym rano, za interesami wybrała się w balowej, tiulowej sukni. Moja kucharka w przystępie szału artystycznego gorącego sandacza udekorowała raz przy razie małuskimi gwiazdkami z marchwi i pasieczkami kartofli, wtykając dla większego efektu w każdy paseczek kartofli ziarno pieprzu, ryba była szczególnie tem pokryta i brzegi dużego półmiska, — ale ryba zupełnie wystygła i stwardniała i to był jedyny rezultat żmudnej i długiej pracy dekoratorskiej. Ten i dużo innych analogicznych przykładów spowodowały, że zaczęłam się poważniej zastanawiać nad kwestją ozdabiania dań, przypominać różne pierwszorzędne wyroby kulinarne i sposoby podawania z kuchni racjonalnie prowadzonych, przy czem doszłam do pewnych, ogólnych, podstawowych zasad, któremi chcę się obecnie podzielić z memi czytelniczkami. Otóż przedewszystkiem powinnyśmy skorzystać ze wskazówek kuchni francuskiej, która ogromnie dużo miejsca udziela sztuce ozdabiania półmisków.

Francuskie plats-montés są to arcydzieła nie tylko kulinarne, lecz i architektoniczne — są to jednak przeważnie dania zimne, które można dekorować spokojnie i wolno, nie narażając się na zepsucie ich smaku, — i najpomysłowszy Vatele ani Brillat-Savarin i nie używali nigdy lewkonji i rezedy, pozostawiając wszelkie kwiaty ich niczem nie dające się zastąpić roli — dekorowania stołów biesiadnych.

Ozdoby potraw powinny wszystkie być jadalne, inaczej są bezcelowe i nieapetyczne.

W dzisiejszej dobie przymusowej oszczędności powojennej daleką jestem od polecenia robienia inkrustowanych kulek z piersi kury do ubrania drugiej kury, podanej w rancie z francuskiego ciasta i pokrytej grzybkami i cynaderkami koguciami z zatkniętymi na czterech rogach półmiska srebrnymi szpadkami udekorowanymi na przemian rakami, truflami i olbrzymimi pieczarkami. Byłoby to karygodnem dla ubogiego kraju zbytkiem. Lecz i wyszukując umiejętnie i gustownie najprostsze artykuły spożywcze możemy osiągnąć duże rezultaty i zrobić najpospo-

lisze, gospodarskie potrawy estetycznymi.

Otóż przedewszystkiem wszelkiego rodzaju paszteciki, grzanki, uszki pieczone podawane do zupy należy podawać ładnie ułożone w piramidkę, półmisek się przykrywa czystą serwetką płócienną lub kilku rozrzuconymi gałązkami zielonej pietruszeczki. Kto ma w kuchni garczek frytury gorszej, to jest tłuszczu zbieranego z pozostałości rosółów, gotowanych wędlin, pieczonych poledwic i schabów, może także gałązki pietruszki usmażyć na takim rozpalonym tłuszczu (powinny pływać w nim, jak pączki). Taka usmażona pietruszka zachowuje cały kształt, kolor jej tylko nieco ciemnieje, a nietylko za ozdobę, lecz za wyborny w smaku dodatek do pasztecików służy.

Następnie wszelkiego rodzaju potrawy, które się podaje w obfitym sosie, powinno się podawać na okrągłym półmisku, otoczonym rantem z ryżu, z tartych kartofli, — przy bardziej eleganckim podaniu z ciasta francuskiego, w pierw upieczonego na metalowym półmisku. Można na takim rancie ułożyć całe, gotowane raki, lub skorupki faszzerowane, całe upieczone zwyczajnie, lub nadziewane duże pieczarki, ozdobę zieloną może stanowić nieco pietruszki lub kilka listków zielonej sałaty, — ja osobiście uważam jednak zielone przybranie za zbędne.

Chociaż rant utrzymuje sos od rozlania po brzegach, jednak przy nabieraniu w końcu zieleń w sosie utonąć musi, a to jest zawsze nieapetyczne.

Sztukę mięsa należy podawać obłożoną wkoło rozmaitemi jarzynami, przyrządzonemi wcześniej, aby mięso pokrajane nie stygło, wszelkie sosy do sztuki mięsa po-

daje się oddzielnie. Pęczki sałaty lub pietruszki, a nawet zimne listki jarmużu ułożone bądź na końcach półmiska, bądź przedzielające poszczególne rodzaje jarzyn stanowiących garnitur, bardzo są odpowiednie i ogromnie apetycznie wyglądają.

Wszelkie zrazy, gołąbki i inne potrawy duszone od razu w sosie należy podawać w naczyniu w którym się dusiły, o ile nie rozporządzamy ładną platerowaną nelsonką, lub płaskim, aluminiowym rondlem, można zwykły emaljowany rondel z ręcznie owinać wkoło czystą serwetą, lub ostatecznie przełożyć dania w głęboką salaterkę z pokrywą. Tutaj wszelkie ozdoby są wykluczone, conajwyżej można posypać mięso zielonym koperkiem lub pietruszeczką. Toż samo się stosuje do wszelkich kołdunów, pierożków z mięsem, grzybami i t. p. podaje się wyłącznie w zakrytych nelsonkach, salaterkach i zawsze tylko polewa maselkiem z bułeczką, topioną słoninką, tartym serem lub przysmażaną pietruszeczką. Wszelkie dekoracje ozdobne są zupełnie niepotrzebne.

Pole do rozwinięcia fantazji dekoratorskiej dają wszelkie zimne dania, majonezy, galarety, galantyny, a szczególnie ryby. Tutaj można zastosować wszelkie kolory galaret, sosów majonezów mieszanym bitych, jarzyn różnobarwnych, sałat, pikli, grzybków, kaparów, oliwek, raków, farszów, oddzielnie przyrządzanych i krajanych w kawałki i t. p. należy tylko uważać, aby wszystko było jadalne i z obrzydzeniem odrzucić tak ukochane przez kucharzy w drugorzędnych restauracjach, pracowite róże z marchwi i buraków wykrawane. Galantyny i galarety najładniej się ubiera galaretą posiekaną i posypaną zieloną pietruszeczka, lub — truflami, pokrajanymi w paski. Żółcisty kolor galarety ślicznie się łączy z zielenią lub czernią tych dodatków. Ryby na gorąco należy tak jak sztukę mięsa podawać bez sosu, sos się podaje w sosjerce, ryby gotowane dekoruje się przeważnie kartoflami z wody, na których można zawsze ułożyć ładnych kilka raków i zakończyć ubranie półmiska paru pęczkami jakiegokolwiek sałaty lub innej jadalnej zieleni.

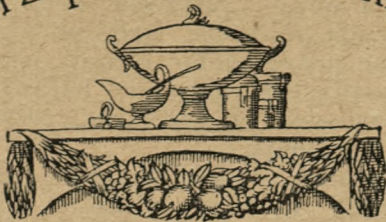
Jako oryginalną dekorację można naokoło dużej ryby gotowanej ułożyć drobne rybki, usmażone na fryturze i oprócz kartofli i zieleni cytrynę pokrajaną w podłużne ćwiartki, jesr to smaczne i eleganckie — kartofle oczywiście pozostają do ryby gotowanej, amatorowie rybek smażonych mają do nich cytrynę.

(D. a. n.)

·Pani Elżbieta.



Przepisy gospodarskie



SOKI OWOCOWE (syropy)

Chcąc mieć smaczne i zdrowe syropy, do wody, lodów, galaret i do polewania różnych zimnych i gorących legumin, należy je smażyć w domu. W handlu znajdujące się syropy, z wyjątkiem może wiśniowego i malinowego, zawsze są zaprawiane chemicznymi aromatami, co nie zawsze jest pożyteczne dla słabych żołądków.

Nie wszystkie owoce nadają się na syropy, przeważnie używa się na nie owoców kwaskowych, soczystych i aromatycznych, niektóre z nich miesza się przed użyciem — np. powszechnie znany jest sok malinowy z porzeczkowym, lub syrop różany na agrestowym soku, sok ananasowy smaży się po połowie z sokiem cytrynowym i t. p.

Zacznę od owoców, jakie się najczęściej pojawiają na rynku — czereśnie i wiśnie szklanki mimo słodczy i soczystości wcale się nie nadają na syrop, pierwsze więc owoce, z których syrop robić należy są truskawki duże, niższych gatunków, uogólniane pod nazwą „Victoria“

Sok truskawkowy. Wziąć truskawki świeże, nieprzefermentowane, oczyścić z ogonków, ułożyć w mosiężną miedniczkę, nalać zimną wodą tylko tyle aby je objęła i zagotować raz na dużym ogniu. Zlać do gęstego, grubego worka z flaneli lub barchanu, służącego tylko specjalnie do roboty soków, związać luźno sznurkiem i powiesić nad wazą albo salaterką aby wolno ściekł nie wyciskany wcale. Następnego dnia sok zmierzyć szklanką do miedniczki, na każde dwie szklanki soku bierze się półtorej szklanki kryształu, miesza starannie łyżką, aby cukier suchy na dnie miedniczki nie pozostał, stawia na ogień, zagotowuje raz mocno, szumuje starannie, potem jeszcze gotuje niedługo na mniejszym ogniu. Gdy widać że sok jest klarowny i kropla rzucona na zimny spodek wolno się tylko rozplywa, miedniczkę odstawić, sok ostudzić, poczem zimny zlewa się do suchych, czystych butelek, starannie korkuje, korki zalewa smołą lub prostym lakiem i przechowuje w piwnicy lub niezbyt ciepłej spiżarni.

Chcąc zabezpieczyć sok od fermentacji należy, gdy już gotów, lecz jeszcze stoi na blasze, na każde cztery szklanki gotowego syropu dodać jedną pastylkę „benzoesu“ rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody. Na smak to nie ma najmniejszego wpływu, a ogromnie zwiększa trwałość konserwy.

Pozostały w worku gąszcz owocowy na wsi się zwykle wyrzuca indykom lub kurom, które go chętnie pożerają — w mieście, gdzie truskawki ostatnimi laty są niezmiernie drogie, można doń dodać cukru, biorąc go tyleż na wagę co jest owocu i wysmażyć na marmoladę, bardzo pożyteczną w gospodarstwie do przekładania tortów ciastek, naleśników i t. p. Dla ożywienia jej koloru wcisnąć przy gotowaniu sok z cytryny, lub wsypać łyżeczkę od kawy soli cytrynowej, (kwasku).

Sok poziomkowy (zwykły). Jest kilka sposobów smażenia tego soku, które się różnią od siebie głównie sposobem wydobycia soku z poziomek, smażenie go jest zawsze to samo. Podam więc kilka najbardziej używanych.

1. Owoce świeże, dojrzałe bardzo, lecz nie spleśniałe i nie sfermentowane, utrzeć w makutrze wałkiem drewnianym, nie gniotąc jednak ziarenek, co by mogło dać goryczkę sokowi, owoce włożyć do worka flanelowego, powiesić nad miską czy wazą. Gdy sok zupełnie spłynie pozostawić go w misie na godzin kilka, poczem ostrożnie zlać. Wszystkie męty się odziewa i pozostaną na dnie.

Drugi sposób: owoce nie sfermentowane i nie spleśniałe wsypać w suche garnki gliniane i wstawić w piec po chlebie, nazajutrz

wyjąć, przecedzić, jak wyżej, przez flanelowy worek.

Trzeci sposób: poziomki ułożone w słojach nalać miękką wodą i trzymać w ciepłe, (na niezbyt rozgrzanym końcu blachy lub słonecznym oknie) dobę, poczem zlać w worek flanelowy i scedzić niewyciskając.

Którymkolwiek z wyżej wymienionych sposobów przyrządzony sok, zmierzyć, na każdą szklankę soku wziąć szklankę kryształu lub tłuczonej rafinady, włożyć to w mosiężną miedniczkę, wymieszać starannie łyżką, aby cukier się do dna nie przyklepił, zagotować na silnym ogniu, jak najstaranniejszym, poczem smażyć na mniejszym ogniu. Gdy syrop jest klarowny i ma gęstość taką jak syrop w konfiturach, miedniczkę odstawić, syrop wylać w porcelanową, lub fajansową wazę. Po dokładem wystudzeniu zlewać do suchych, czystych butelek, zakorkować dokładnie zalekować korki, trzymać w piwnicy lub chłodnej spiżarni. Chcąc mieć pewność że sok nie zacznie fermentować, do gotowego soku w miedniczce wlać na każde trzy do czterech szklanek soku pastylkę „benzoesu“ rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody.

Sok poziomkowy nie gotowany. Najsmaczniejszy i najaromatyczniejszy z syropów owocowych. Mimo to, że nie jest gotowany, ani smażony, bardzo trwały. To jest właściwie trwa rok równo, do nowego zbioru poziomek. W czerwcu roku następnego po zrobieniu zaczyna fermentować i psuje się. Jeżeli zaś jakaś poszczególna buteleczka nie sfermentuje jakimś trafem, to traci śliczny kolor i aromat. Soku więc tego należy zrobić dokładnie taką ilość, jaką możemy użyć w ciągu jednej zimy. Oprócz tego butelka raz otwarta nie może stać długo, gdyż cudny aromat świeżych poziomek ulotni się, należy więc przygotować do niego małe buteleczki, ze szkła białego, przez które by widać było śliczny kolor syropu. Buteleczki starannie po wymyciu wysuszyć i suche jeszcze potrzymać godzin kilka w ciepłym piecu, aby wszelkie ślady wilgoci usunąć z nich. Najdojrzalsze poziomki, niepogniecione, niesfermentowane i niespleśniałe zważyć i zsypać do porcelanowego dużego naczynia. Na każde kilo poziomek wziąć półtora raza tyle cukru, (najlepiej rafinady, chociaż może być użyty i kryształ). Na 400 gr. cukru bierze się szklankę wody i starannie szumując gotuje się syrop tak gęsty, aby zdmuchnięty



z łyżki ciągnął się w nitkę, wrzącym takim syropem zalewa się poziomki, miesza bardzo ostrożnie aby nie pognieść poszczególnych jagódek, przykrywa złożonym w kilkoro, miękkim płótnem, (serwetą, obrusem i t. p.) aby para wsiąkała w to płótno i nie opadała do syropu. Naczynie wynosi się na 24 godziny do lodowni lub chłodnej piwnicy. Nazajutrz przygotowuje się zwykły kuchenny taboret, przewrócony do góry nóżkami, do nóżek przywiązuje się suchą, niezbyt gęstą serwetę, pod to stawia suchą wazę lub misę porcelanową. Na serwetę wylewa się poziomki z syropem, który nie wciskany, ani duszony powinien ściec do podstawionego naczynia. Syrop ten natychmiast się zlewa w butelki, starannie korkuje, smoli lub lakuje i przechowuje w suchej piwnicy, gdzie nie tracąc cudnego koloru, smaku i aromatu, trwa do następnych poziomków. Jest to najsmaczniejszy i najwykwintniejszy syrop. Pozostałe na serwecie poziomki zawierają zwykle w sobie tyle jeszcze cukru, że można je bez żadnych dodatków wysmażyć na marmeladę do naleśników. Gdyby słodczy był, za mało dodać nieco cukru. Kto lubi marmelady kwaskowe może dodać na każde kilo marmelady kawową łyżeczkę soli cytrynowej. (kwasku) Marmeladę, gorącą jeszcze, składa się w słoje kamienne.

(c. d. n.)

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby noże naostrzyć, trzeba natrzeć skórę cyną — tak aby miała blask metaliczny — nóż przeciągnięty kilka razy po niej będzie ostry jak brzytwa.

* * *

Czyszcząc, zwłaszcza jasne rzeczy olejkim terpentynowym, lub benzyną — napuszczając jaknajmniej tych płynów na kawałek waty, lub flaneli i szybko wycierać w koło płamę, dopóki nie wyschnie. Gdyby pomimo to zaciekła — przyłożyć ją bibułą i prasować gorącym żelazem.

Korespondencje działu praktycznego

Prenumeratorce z Odrowąża.

Taki prostotrzymacz jak go Pani nazywa, można zrobić w domu, za pomocą szerokiej linii lub cienkiej heblowanej deseczki, którą bierze się pod ramiona i chodzi z nią, codzień dłużej zaczynając od kilku minut. O ile pochylenie jest tylko z przyzyczenia, deseczka taka wystarczy; jeżeli jednak są poważniejsze przyczyny, trzeba poradzić się lekarza.

Formę żadaną, możemy posłać Pani po otrzymaniu dokładnej miary i numeru fasonu wybranego.

Pani A. D. w Jaworowie.

Gdy azalia przekwitnie, trzeba ją przesadzić zanim ukażą się nowe pędy. Azalie rosną dobrze w ziemi wrzosowej, liściowej i inspektowej nie lubią ogrodowej i polnej. Wsadza się rośliny bardzo mocno w ziemię i wkopuje z doniczką na słoneczną grządkę w ogrodzie. Pokój dla azalii jest niestosowny, bo nadewszystko lubi świeże powietrze.

Stalej prenumeratorce.

Fason sukni podamy w następnym dodatku mód.

Pani H. W. w Łodzi.

O ile podaje się herbatę, dać do niej można tartinki z wędliną i zimnym mięsem i ciasta. Do kawy, podaje się cienko krajany chleb lub bułeczkę z masłem i ciastem. Do pieczenia tortu trzeba mieć specjalną okrągłą otwieraną blachę, aby po upieczeniu tortu można go wyjąć z łatwością bez

uszkodzenia. Tortownicę dostanie Pani w składach kuchennych naczyń. Stół nakrywa się haftowaną serwetą i serwetkami, w braku takich — białymi lub kolorowymi. Kwiaty w małych, wysokich wazonikach dodają zawsze uroku, srebrne koszyki i kryształowe talerze pięknie zdobią stół. Co do noska synka Pani proszę się nie niepokoić, z wiekiem urośnie i uformuje się, nie trzeba żadnych zabiegów, tylko trochę cierpliwości, a nosek nabierze odpowiednich kształtów.

Pani J. K. w Pańńówku.

Aby przygotować surowe włosie na materace w domu, trzeba je po obcięciu związać w małe pęczki, aby się nie rozsypywało, doskonale wyprać na balji, wygotować w kotle — jak ostygnie mokre popłatać ciasno w warkoczyki i wysuszyć na słońcu, lub w piecu, ostrożnie żeby nie przepalić. Po wysuszeniu rozpleść warkoczyki i rozskubać każdy włos z osobna. To jest sposób domowy — w mieście daje się włosie do wygotowania i skręcenia w specjalnych zakładach. — W Kijowie zład pochodzą sławne suszone owoce — siarkuje się je. Sposób zasadza się na podkadzaniu w zamkniętej blaszanej szarynce, dymem palącej się siarki, zamkniętych w niej owoców, a następnie na moczeniu ich trzydniowym dla wyciągnięcia nieprzyjemnego zapachu siarki. Zniszczywszy w ten sposób zarodki fermentacji, dosusza się owoce na sitach, na powietrzu, obsypuje się grubo cukrem, pudrem. Tak suszone zachowują właściwy smak, aromat i miękkość.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelnikom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót j. t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.
Telefon 102-77.



Opis sukien i robót do Nr. 21.

356. Suknia z popeliny morelowej, przybrana haftem.
357. Suknia z seledynowej organdy, przybrana plisami z tego samego materiału i falbaneczkami z walansjenki.
358. Suknia z surowego jedwabiu gładkiego i w drobny deseniek.
359. „Casaque“ z crêpe de chine'u, ozdobiony haftem.
360. Fartuszek dla dziewczynki od lat 4 do 6 z satyny, lub kretonu w dwóch kolorach.
361. Strojna suknia z crêpe Georgette koloru cyclamen, przybrana ciemniejszą aksamitką i falbaneczkami z koronki ecru.
362. Suknia z crêpe marocain—przybrana haftem, falbany z jaśniejszej Georgette'y.
363. Suknia z deseniowej markizety z odciętym karczkiem.

364. Suknia z surowego jedwabiu w kratę, boki plisowane.

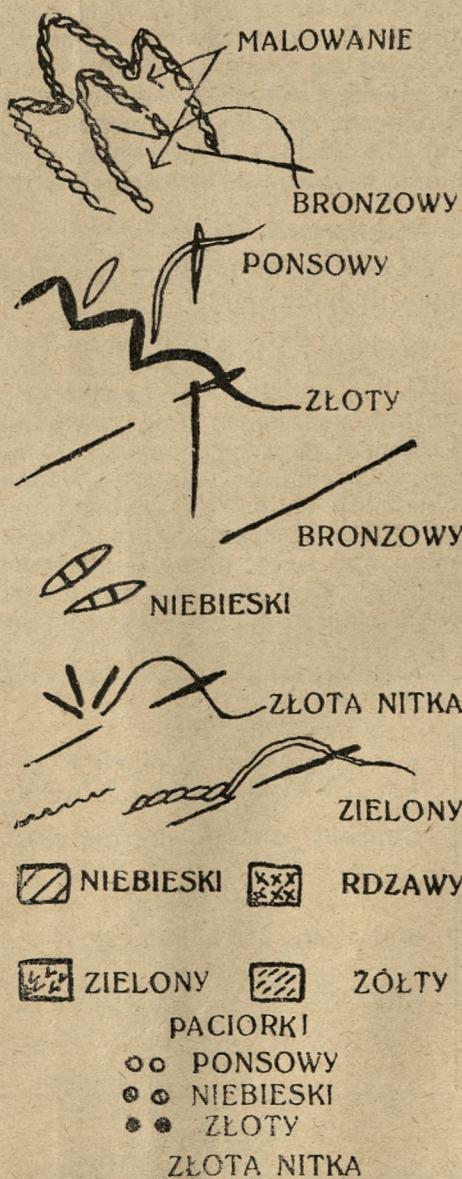
365. Suknia z popeliny w paski, przybrana pliską w jednym kolorze.

366. Suknia z płócienka electric, przybrana pliskami z deseniowej satyny.

367. Suknia z crêpe marocain. Spódniczka czarna. Bluza biała, zakończona czarną plisą, haftowaną białym.

368. Fartuszek dla dziewczynki od lat 5 do 8 z płócienka szarego—objęty ponsową plisą i ozdobiony ręcznym haftem.

369. Wzór na teczkę. Na szarem płótnie—malowanie, haft jedwabiem i paciorkami. Wielkość naturalna. Objasnienie poniżej.



UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna 2.50
bluzka 2.00
formy dzieciinne 2.00
bielizna 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

LAMPY

kolumnowe, salonowe i nocne

MEBELKI

pudła, pandory, bloki, lusterka, ramki, lichterze i t. p.

BATIKOWANE i INKRUSTOWANE

po cenach ŚCIŚLE FABRYCZNYCH
i na DOGODNYCH WARUNKACH
ZAPŁATY poleca:

TOW. HANDLOWO-PRZEM.

„TERRA“

Sp. z o. o.

w WARSZAWIE,
ulica Świętokrzyska № 20,
[telefony 79-76 i 96-20.]
I piętro, front, od 9 rano do 4 m. 30 pp.